

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.



CENA 6,66 zł w tym 8% VAT NR 41 (1673) 14-20 października 2022

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237



nie@redakcja.nie.com.pl

www.tygodniknie.pl

 Tygodnik NIE

 Tygodnik NIE

TYDZIEŃ Z GŁOWY

Albo premier Morawiecki oszalał, albo oszalał jego pryncypał Kaczyński. Z własnej woli lub na rozkaz prezesa Morawiecki poleciał do Madrytu, żeby wziąć udział w wiecu urządzonym przez zakochanych w Putinie narodowców z partii Vox. Premier Polski pierdolił jak stłuczony dzban: o ponadnarodowej bestii, którą jest biurokracja europejska, o Europie niepodległych państw i o chrześcijańskich korzonkach, które ukochał. Obciach, który wozi ze sobą Morawiecki, jest co najmniej tak wielki jak jego skłonność do łgarstw.

Gdy lider Platformy Obywatelskiej Donald Tusk uznał madrycki rajd Morawieckiego za co najmniej nieestosowny, zareagowała posłanka PiS Kubiak, brandzując się na Twitterze tym, że rok temu prezydent Białorusi Łukaszenka powiedział: „Tusk to silny polityk, dzięki jego powrotowi do Polski władza PiS upadnie i będzie z kim rozmawiać”. Przecież to święta prawda, madame Kubiak; doprawdy nie ma się czym podniecać.

Morawiecki odezwał się również na temat śmierci Jerzego Urbana. Najpierw się zdziwił: „Sprawa zatacza tak szerokie kręgi, że nawet »New York Times« napisał, że w ostatnich latach Urban przeistoczył się w bohatera w walce o wolność słowa. Wyobrażacie państwo sobie to? Urban bohaterem w walce o wolność słowa?”. Następnie zaofiarował się: „Osobiście dołożę starań, by Jerzy Urban doczekał się uczciwej opowieści na swój temat, a więc takiej, która obnaża jego potworność”. Na koniec wypalił: „Jeśli tak dalej pójdzie, to Urban okaże się bohaterem, a książd Jerzy Popiełuszko wicherzyelem i zdrajcą. (...) Po moim trupie!”. Trzymalibyśmy Morawieckiego za słowo, ale przecież wszyscy wiedzą, że to urodzony kłamka.

Prezydent Duda nie poleciał do Madrytu, tylko do Bratysławy, gdzie odbywała się konferencja GLOBSEC (słowacka organizacja pozarządowa zajmująca się głównie bezpieczeństwem międzynarodowym). Duda brylował w towarzystwie, mówiąc jak z nut o Grupie Wyszehradzkiej i Inicjatywie Trójmorza. Gdy pomyśleliśmy, że już niedługo Duda nie będzie miał okazji do pogadania z głowami takich państw jak Bułgaria, Chorwacja, Czechy, Estonia, Litwa, Łotwa, Słowacja, Słowenia, Rumunia i Węgry, to zrobiło się nam go zwyczajnie żal.

Bohaterem prorządowych mediów został prezydent Otwocka nazwiskiem Margielski. On to swoimi własnymi rencami przy niewielkiej pomocy podlegających mu urzędników samorządowych zaopatruje obywateli Otwocka i okolic w przeznaczony do spalania rządowy węgiel kamienny. Bohaterskiemu prezydentowi Otwocka prorządowa telewizja publiczna przeciwstawia gnuśnych, leniwych i beczelnych samorządowców pokroju prezydentki Gdańska Aleksandry Dulkiewicz oraz prezydentów Warszawy Rafała Trzaskowskiego czy Wrocławia Jacka Sutryka, którzy uważają, że od handlu węglem nie są samorządy, lecz wyspecjalizowane składy i firmy.

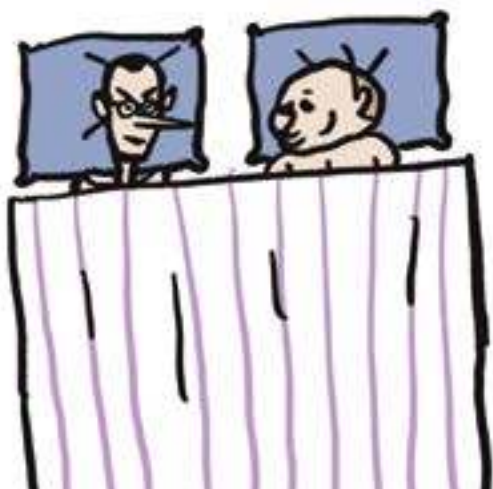
Troje nowych członków Rady Polityki Pieniężnej, wybrani przez senat Joanna Tyrowicz, Ludwik Kotecki i Przemysław Litwiniuk, opowiada publicznie o tym, co się dzieje w RPP, której członkiem jest również prezes Narodowego Banku Polskiego Głapiński. Z opowiadań tych wynika to, czego domyślał się każdy, kto cieszy się ilorazem inteligencji wyższym niż 80: że Głapiński i czterej pisowscy członkowie RPP działają nie na rzecz stabilności złotego i pomyślności obywateli Polski, ale w interesie partii rządzącej.

Na co – co również było do przewidzenia – odezwał się Głapiński. Niewymienionym z nazwisk członkom RPP zagroził zawiadomieniem prokuratury o „podejrzeniu popełnienia przestępstwa”. Naprawdę?! Prezesie Głapiński, Jastrzębiu, tylko na to pana stać?

Trzech posłów Koalicji Obywatelskiej – Paweł Kowal, Dariusz Rosati i Bartłomiej Sienkiewicz – przeprowadziło kontrolę poselską w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Politycy opozycji chcieli obejrzeć notę, którą w zeszłym tygodniu podpisał minister Rau, notę skierowaną do Niemiec i dotyczącą reparacji wojennych. Przyjął ich wiceminister Wawrzyk, który noty im nie pokazał, za to zażądał podpisania oświadczenia o zachowaniu tajemnicy państwowej. Posłowie-kontrolerzy niczego nie podpisali i uznali, że utajnianie nietajnej noty dyplomatycznej to absurd. (Absurdem nieco innego kalibru jest to, że Wawrzyk cierpi na strach przed lataniem. Dacie wiarę – wiceminister spraw zagranicznych, który boi się latać?!)

Nominacje po denominacjach. Po Dworczyku i jego mejlach szefem Kancelarii Prezesa Rady Ministrów został król przestworzy Kuchciński wraz z jego aferą pedofilską, która koncertowo została zamieciona pod dywan. Na fusze szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego cywila Solocha zastąpił wojskowy Siewiera. A teraz to, co tygrysy lubią najbardziej: Soloch, podobnie jak wcześniej Dworczyk, odszedł ze stanowiska „ze względów osobistych”.

Nauczyciele protestują, a to zakładając Miasteczko Edukacyjne, a to śląc kartki do ministra edukacji i nauki Czarnka, a to zwyczajnie stojąc i bucząc na ulicach. Jak to w Dzień Nauczyciela...



Rys. PATRYK SRODZINSKI

Pogrzeb Urbana był nadspodziewanie udany. Bohater pogrzebu byłby zadowolony.

Teraz już możemy pisać o Urbanie per Tatuś, bo Waldek Kuchanny w porywie sentymentalizmu zdradził w mowie pogrzebowej tę skrycie skrywaną tajemnicę redakcji. Rzeczywiście mówiliśmy o nim „Tatuś”, choć trzeba przyznać, że nigdy w oczy. Na taką poufałość sobie nie pozwalaliśmy. Jego upiornie dobre wychowanie było zaraźliwe.

Tatuś zatem byłby zadowolony z kilku rzeczy na pewno. Na przykład z Aleksandra Kwaśniewskiego, który mówił o tym, jaki wpływ miał Urban na generała Jaruzelskiego, dla którego był gorącą linią z rzeczywistością, z natury trudno dostępną na generalskim stanowisku. Kwaśniewski twierdzi – i najpewniej ma rację – że specyficzny i okraszony humorem ogłód świata, który wyróżniał Urbana, nieraz pozwalał mu przekonać Generała do zmiany polityki i bardziej realistycznego spojrzenia na Polskę.

Czarująca była opowieść o ciotkach rewolucji, które Kwaśniewski spotkał w trakcie kampanii we wczesnych latach 90.

– Towarzyszu Aleksandrze, znanie towarzysza Urbana? My czytamy to jego pismo, wspaniałe, czytamy od deski do deski, ale moglibyście towarzyszowi Urbanowi powiedzieć, żeby on tych wyrazów nie używał...

– Jakich wyrazów?

– No wiecie, no tych...

– I to jest jeden z powodów, dla których tych wyrazów używam – wyjaśnił mu później Urban w swojej nieustającej krucjacie



Rys. TOMASZ WATKIN

Tatuś

przeciw hipokryzji, także wśród towarzyszy partyjnych.

Nie do końca jestem pewna, czy Urban byłby zadowolony z tego, że Kwaśniewski porównał go do Mateusza Morawieckiego: – Morawiecki zarzucał Urbanowi, że on w okresie PRL kłamał; zdarzało się. A premier Morawiecki? Morawiecki zarzucał Urbanowi, że on bezpardonowo brutalnie atakował opozycję. A Morawiecki? Różnica była taka, że Urban był tylko rzecznikiem rządu, a Morawiecki jest premierem...

Chociaż być może myśl o tym, jak to porównanie wkurwiłoby Morawieckiego, mogłaby Urbana uradować.

Jan Hartman dołożył do tego porównania swoje oburzenie słowami Morawieckiego, że Urban był „potworem”,

czego – zdaniem profesora – Urban nigdy w życiu nie powiedziałby „o największym wrogu” po jego śmierci. Zdecydowanie nie. Obelgi Urbana były znacznie bardziej wyrafinowane i unikał w nich egzaltacji.

Zaskakującą postacią na trybunie przy Urbanowej urnie był Krzysztof Bobiński, korespondent „Financial Times” w Polsce w latach 1976–2000. Który był – jak powiedział – „jednym z konsumentów” konferencji prasowych Urbana i podziękował Tatusiowi, że jako rzecznik rządu co tydzień spotykał się z dziennikarzami i odpowiadał na każde pytanie, które było mu zadane – co teraz, jak trafnie zauważył Bobiński, się nie zdarza.

Nie jestem pewna, czy Urban byłby zadowolony z opowieści o tym, jak dyskretnie pomagał wielu ludziom i jakim w ogóle dobrym i wrażliwym był człowiekiem. Jestem pewna, że zapieniłyby się na stwierdzenie, że był „patriotą”, pominiemy je więc takownym milczeniem.

Podaję, że byłby rozczarowany mizerną reprezentacją prawdziwych Polaków, którzy zebrali się w żalosnej grupce z transparenckiem o treści: „Goebbelsourbany padli, kolej na innych oprawców”. Może pewną satysfakcję sprawiłaby mu myśl, że inni oprawcy padli przed nim – choć na pewno chodzi jeszcze po świecie kilku takich skurwysynów, których chciałby przeżyć.

Sorry, Tatusiu, spróbujemy to zrobić w Twoim imieniu. My i tygodnik „NIE”.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA
awl@redakcja.nie.com.pl



Rys. TOMASZ WATKIN

PRASA ŚNIADANIOWA

Rok 2022 okazał się rekordowy pod względem **nowych zakażeń wirusem HIV** w Polsce. Widać, że pierwsze pokolenie nauczane z podręcznika do wychowania do życia w rodzinie weszło w dorosłość.

Portal **Radiomaryja.pl** ubolewa, że po suszy we Włoszech jest mało **białych truflif**. Zupełnie nie wiadomo, czym słuchaczki radia w najbliższą Wigilię doprawią kapustę.

Robert Lewandowski wystąpił w reklamie zdrapek **Totalizatora Sportowego**. Lewandowski już kupił zdrapkę i wygrał fiata punto.

W Madrycie premier **Morawiecki** zapowiedział, że nie będzie przeproszał za to, że jest Polakiem. Wystarczy przeprosić, że jest się Pinokiem.

Lider zespołu Bayer Full zapowiedział zakończenie współpracy z TVP. Kto pierwszy ucieka z tonącego statku?

Jak podaje portal **Wirtualnemedia.pl**, kanał **TVP Nauka** ogląda średnio 8,8 tysiąca widzów. A ponieważ nauka jest wymysłem Szatana, to wkrótce będzie ich 6,66 tysiąca.

MARTA M.



Rys. TOMASZ WATKIN

Zapewne nie zastanawialiście się jeszcze, ale zaraz zaczniecie się zastanawiać, kto jest najbiedniejszym posłem w sejmie. Zaskoczę was. Najbiedniejszym wybrańcem narodu jest osoba najlepiej uposażona w tej instytucji, stojąca na straży praw i godności Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej, wicemarszałek (dalej dla uproszczenia używać będę tytułu marszałek) Małgorzata Gosiewska.

Na minusie

Otóż marszałek Gosiewska zgodnie ze swoim oświadczeniem majątkowym za rok 2021 dysponuje majątkiem w wysokości minus (znaczy mniej niż zero) 153 981 zł z jakimiś groszami (które to grosze w ogóle będę w dalszych rachunkach pomijał). Pojawia się zatem logiczne pytanie, jak osoba na tak eksponowanym i dochodowym stanowisku, która na rękę w 2021 r. pobrała z kasy sejmu ponad 215 tys. zł, może być tak biedna? To jest pytanie, na które nie znam niestety odpowiedzi. Być może słuszne by było, aby poszukiali jej ludzie bardziej ode mnie wnikliwi z którejś z tych 3-literowych instytucji.

Na nic

O marszałek Gosiewskiej w gruncie rzeczy niewiele wiadomo. Ekszona wicepremiera Przemysława Edgara Gosiewskiego, który nie żyje od lat dwunastu. Wyleciał do Smoleńska, ale tam nie doleciał w całości. Można rzec, że Gosiewska jest zatem wdową, chociaż ten tytuł zapewne bardziej przysługuje Beacie Gosiewskiej (drugiej żonie Przemysława Edgara Gosiewskiego), która też swego czasu była posłanką, ale nie będziemy się nią zajmować.

Z prezentowanych przez panią Małgorzatę Gosiewską sprawozdań finansowych za ostatnie 5 lat wynika, że na swojej pracy osobiście traci. Mimo że zarabiała coraz więcej, posiadała w tym okresie coraz mniej.

W roku 2015 – który był pierwszym rokiem w ostatnich dwóch kadencjach sejmu, gdy wzięliśmy ją na utrzymanie – wówczas jeszcze szeregowa posłanka Małgorzata Gosiewska posiadała ponad 5 tys. zł oszczędności, ale jej zadłużenie z tytułu kredytu w SKOK, Kancelarii Sejmu oraz banku wynosiło 126 tys. zł. We wspomnianym roku 2015 jako posłanka zarobiła 149 tys. zł, co przy rozsądnym gospodarowaniu wystarczyłoby, aby uwolnić się od wierzycieli. Lecz nie wystarczyło...

Przez następne lata zadłużenie pani marszałek urosło aż do wspomnianego na wstępie poziomu 153 tys. zł. Przy tym z przedstawionych przez nią dokumentów wychodzi, że raty od kredytów i pożyczek spłaca, zaciągając kolejne pożyczki i kredyty w innych instytucjach. Jej zadłużenie na wysoko czardżowanej karcie kredytowej wynosi dziś 40 tys. zł. Roluje długi. Jednocześnie przez wspomniany czas systematycznie rosło jej wynagrodzenie poselskie indeksowane o podwyżki, jakie posłowie sami sobie dawali. W zakresie od 150 tys. do obecnych ponad 200 tys. zł rocznie.

Przez kolejne 5 lat pani marszałek zeznaje sejmowi, że nie posiada żadnych oszczędności; w tej rubryce pisze konsekwentnie: „nie dotyczy”. Nie posiada też nieruchomości i ruchomości o wartości powyżej 10 tys. zł. Nie posiada majątku na granicę. Nie ma środków w walucie polskiej,



w walucie obcej, gospodarstwa rolnego, innych nieruchomości, udziałów ani akcji w spółkach handlowych. Nie nabyła mienia od skarbu państwa, nie prowadzi działalności gospodarczej. Marszałek Gosiewska jest prezeską fundacji, która nie wiadomo czym dokładnie się zajmuje, ale zgodnie z oświadczeniem nie pobiera z tego tytułu uposażenia.

Marszałek Małgorzata Gosiewska, która w ostatnich siedmiu latach zarobiła nieco ponad milion złotych, nie ma absolutnie nic.

Wynajmuje 50-metrowe mieszkanie na warszawskim Ursusie, zbudowane przez Towarzystwo Budownic-

stwa Społecznego dla osób o średnich dochodach. W tym okresie posiadała 2 samochody, jeden Renault Laguna (który zapewne był już wyeksploatowany), a w roku 2019, co dość osobliwe, bo był to ostatni rok pierwszej z dwóch kadencji, wzięła kredyt na zakup 2-letniego passata w Volkswagenbanku w wysokości 100 tys. zł.

Na rozkurz

Ryzykowne finansowo posunięcie, ponieważ jej rzeczywiste kwalifikacje są dość niejasne (studiów nie skończyła, legitymuje się jedynie licealnym wykształceniem). Zawód wykonywany przez Małgorzatę Gosiewską można by określić jako małżonka PiS. Gosiewska od zawsze żyła z PiS-u (lub jego poprzednika Porozumienia Centrum), będąc kolejno: asystentką Jarosława Kaczyńskiego, księgową u Ludwika Dorna, posłanką, urzędniczką prezydenta Lecha Kaczyńskiego, a w końcu od siedmiu lat posłanką i marszałicą.

Zapożyczając się na samochód, nie miała pewności, że dostanie się do kolejnego parlamentu, który gwarantowałby jej godziwe dochody. Można rzec, że to naprawdę pro-

blem banku, który może pożyczać, komu się podoba i ile chce, bo najwyżej straci, jednak odpowiedzialność dłużnika nie jest wyłącznie honorowa.

Weźmy pod uwagę rok 2021 – żeby daleko nie sięgać. Można przyjąć, że Gosiewska miesięcznie otrzymywała ok. 18 tys. zł. Z tego na mieszkanie wraz z opłatami wydawała jakieś 1,8 tys. zł. Jak można wyrozumować z przedstawionych przez nią dokumentów, jej miesięczne wydatki na obsługę zadłużenia wynosiły ok. 2 tys. zł. Gosiewska posiada dorosłe dziecko, na które być może cośłoży, nie posiada męża, posiada psa (małego), nie wygląda na osobę, która kupuje torebki za 30 tys. zł i buty za 26 tys. Wypoczywa wyłącznie w Polsce pod namiotem. Świat zwiedza na koszt sejmu. W roku 2021 w podróżach zagranicznych była przez ponad 2 miesiące, na co sejm wydał więcej niż 100 tys. zł. Za hotele i wyżywienie nie płaci, za przeloty również. Za benzynę do tego samochodu, co go ma w kredycie, również nie płaci, ponieważ pobiera przecież ryczałt na prowadzenie biura poselskiego; ma ich 1,3: jedno własne, drugie na spółkę z posłami Mariuszem Kamińskim i Jarosławem Krajewskim. Ryczałt na

biuro poselskie w roku 2022 wynosi 19 tys. zł miesięcznie.

Na paliwo

W 2015 r. z przedstawionych przez nią rozliczeń wydatków biura wynikało, że na paliwo wydała ponad 100 tys. zł. Było to nawet przedmiotem dochodzenia prokuratury, gdyż dziennik „Fakt” policzył, że Gosiewska musiałaby 6 razy okrążyć Ziemię (240 tys. km), aby wydać na paliwo tyle, ile wydała. Tego, jak się skończyło prokuratorskie dochodzenie, nie ujawniono.

Pozostaje zatem pytanie, na co Gosiewska wydaje ok. 14 tys. zł miesięcznie, skoro zadłuża się coraz bardziej.

Na ryjówkę

Pozwolimy sobie pohipopotetyzować. Otóż może dawać na biednych, Kościół, dzieci w Kirgistanie, zagrożoną wyginięciem ryjówkę średnią albo na Radio Maryja. Klóci się to jednak z pospolitym doświadczeniem, żeby ktoś, kto ma poważne długi, rozdawał pieniądze, zwłaszcza że Gosiewska do rozrzutnych nie należy.

Słynny był swego czasu konflikt Gosiewskiej z byłym mężem, którego pozwała o podwyższenie alimentów z 600 na 700 zł, czyli chodziło o stówę miesięcznie. Było to w czasach, gdy Przemysław Gosiewski załatwił jej intratną robotę w Kancelarii Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego. Zarabiała tam kilka zdrowych tysięcy złotych. Nie jest to zatem osobowość rozdawnicza...

Możemy sobie wyobrazić, że np. jej 27-letni syn buduje dom, a Gosiewska go od pięciu lat wspomaga. Też niestety klóci się to ze zdrowym rozsądkiem. Jak się ma długi, to się je spłaca. Istnieje bowiem ryzyko, że ukochane dziecko je odziedziczy i będzie w kłopotach. Syna raczej więc Gosiewska nie finansuje.

Jeśli pominąć kłamliwość oświadczenia majątkowego pani marszałek, no bo skoro otrzymuje 18 tys. zł wynagrodzenia, to przynajmniej raz w miesiącu ma na koncie ponad 10 tys. zł oszczędności, które powinna ujawnić, jest inny poważny problem.

Na kochanka

Można sobie imaginować, że marszałek sejmu Małgorzata Gosiewska może robić ze swoimi prywatnymi pieniędzmi, co jej się podoba. Utrzymywać kochanką, kochankę, upijając się w sztok, przegrywać w kasynie – choć skądinąd wiadomo, że w jej przypadku nie ma to miejsca.

Natomiast są również rzeczy, których pani marszałek Gosiewska ze swoimi pieniędzmi robić nie może, tym bardziej że są to pieniądze niemałe. Nie może kupować narkotyków, wynajmować płatnych morderców, płacić szantażyście ani być uwikłana w handel dziećmi.

Na co pani marszałek zatem wydaje, skoro nic nie ma? To jest dość ważne pytanie z gatunku tych zahaczających o bezpieczeństwo państwa. Nie powinno być tak, żeby niezależny poseł siedział w kieszeniach wierzycieli i szastał forszą nie wiadomo na co. Bo to oznacza, że jest uzależniony, a jego wybory i decyzje nie są niezawisłe.

23 września wysłałem do biura poselskiego marszałek Gosiewskiej, a także na jej pocztę sejmową prośbę o wyjaśnienie osobliwych oświadczeń majątkowych przedkładanych sejmowi. Pani marszałek list otrzymała. Mimo ustawowego terminu, jaki miała na wyjaśnienia, takie wyjaśnienia nie nadeszły.

ROBERT JARUGA



Bierz czarnucha!

Hitlerowcy wykorzystywali psy do wyłapywania ukrywających się w lasach Żydów, a kaczyści będą z pomocą psów nękać uchodźców.

Gdy media obiegił film, na którym zarejestrowano, jak żołnierze w sposób wulgarny naśmiewali się z uchodźcy, który zawisł na drucie kolczastym 5,5-metrowej zaporę postawionej na granicy z Białorusią, pisowska sitwa po cichu, tylnymi drzwiami, za pomocą tzw. wrzutki poselskiej wprowadziła zmiany do ustawy o lasach i kodeksu wykroczeń, żeby jeszcze bardziej upokorzyć sponiewieranych ludzi.

Dotychczas psy puszczać luzem w lesie mogli jedynie myśliwi podczas polowań. Ratownicy w trakcie szkoleń psów i akcji nie mieli takiego prawa. Posłowie chcieli zmienić przepisy tak, aby było to możliwe. Tymczasem podczas procedowania w sejmie poseł PiS Dariusz Bąk zgłosił nieoczekiwane poprawkę, według której będzie można puszczać psy luzem także „w działaniach związanych z ochroną granicy państwowej lub zapewnieniem bezpieczeństwa i porządku publicznego”. Puszczenie psów luzem w celu ochrony granicy (gdy służby dysponują wysoko rozwiniętą techniką obserwacyjną taką jak kamery, czujniki ruchu, drony itp.)

wyda się niedorzeczne i ma tylko jeden cel: dodatkowe zastraszanie uchodźców.

W policji i straży granicznej służbę pełni ok. 900 psów. Zdecydowana większość z nich to psy patrolowo-tropiące, idealnie nadające się do wyłapywania blakających się po lasach ludzi. Czyżby rząd PiS szykował się na wielkie polowanie?...

Jak wiadomo, Kaczyński i spółka w odpowiedzi na kryzys humanitarny i migracyjny na granicy z Białorusią postawili tam płot, zarządzili stan wyjątkowy i wysłali tysiące żołnierzy, policjantów i pograniczników. Uchodźcy, którym uda się przekroczyć granicę, są wyłapywani przez polskie służby, zdarza się, że są bici i upokarzani, pozostawieni bez opieki medycznej, wywożeni do lasów i na bagna po białoruskiej stronie granicy.

Okazuje się, że to za mało dla obrońców życia z PiS. Teraz dojdzie do tego szczucie psami.

ANDRZEJ SIKORSKI
nie@redakcja.nie.com.pl



Rys. PATRYK SIROCIŃSKI

Ziobro nie będzie siedział

Przynajmniej mam taką nadzieję...

Urban nie znosił PiS-u. Nie znosił go żarliwą nienawiścią i przyznawał z właściwym sobie wisielczym humorem, że jest to ostatnia namiętność, jaka pozostała mu w życiu. Ale to właśnie Urban przestrzegał przed pokusą wszczynania sezonu łowieckiego na pisiorów po wygranych przez opozycję wyborach. Jak zwykle miał rację.

Obietnice polowania stały się lejtymotywy ostatniego tygodnia. Platforma z lewicą licytują się, kto bardziej podekscytuje swój twardy elektorat wizją wsadzania tych wszystkich, którzy

powinni siedzieć,

a Polska 2050 depcze im po piętach.

Lewica uznała odbywający się w Polsce kongres Partii Europejskich Socjalistów za optymalną okazję do ogłoszenia powołania trybunału ludowego.

„Od soboty zaczniemy pracę nad identyfikacją osób, które w Polsce naruszyły prawo, pełniąc funkcje publiczne” – ogłosił Krzysztof Śmiszek, skwapliwie dodając, że na czele Volksgerichtshof stanie on sam, ale będą w nim także Danuta Waniek i Ryszard Kalisz. Razem przygotują grunt pod pracę „Komisji Sprawiedliwości i Prawa, która ma rozliczyć rządy Prawa i Sprawiedliwości”. Komisja taka – „przy dużej transparentności”, czytają: w publicznych procesach inkwizycyjnych – będzie „identyfikowała osoby, które przez ostatnie 8 lat łamały praworządność, nadużywały władzy, przekraczały uprawnienia funkcjonariuszy publicznych, narażały skarb państwa na gigantyczne szkody, podejmowały decyzje przekraczające ich mandat”. Ale – zapewnia Śmiszek – „to nie będzie żaden sąd, to nie będzie żaden trybunał, to będzie komisja wzorowana na tych, które były powoływane w krajach, które przechodziły autokratyczne reżimy, oczywiście zachowując wszelkie proporcje tego, co wydarzyło się w Chile, Argentynie czy w Polsce”.

Mam dla posła Śmiszka przykrą wiadomość: nie da się „zachować proporcji” między tym,

co się wydarzyło w Chile i Argentynie, a rządami PiS. Chilijska Komisja Prawdy i Pojednania zidentyfikowała ponad 2000 osób zamordowanych z przyczyn politycznych przez reżim Pinocheta; argentyńska Narodowa Komisja do spraw Zbrojnych Porwań wskazała nazwiska 8961 osób „znikniętych” pod rządami sześciu wojskowych dyktatorów, poczynawszy od Videli. Stawianie ośmiu lat obrzydlivych i niemoralnych, ale bezkrywanych pisowskich rządów w jednym szeregu z chilijską czy argentyńską dyktaturą to jednak podstawianie żabiej nogi do kucia.

Śmiszka przebił Krzysztof Gawkowski, który nie zawracał sobie głowy opowieściami o procedurach, tylko wprost ogłosił, że pisiory „będą siedzieć”. Wymienił nawet nazwiska. „Rozliczenie Ziobry za aferę hejterską, Kaczyńskiego, że pozwalał swoim politykom działać poza prawem, inwigilując Pegasussem, rozliczenia za media publiczne, niszczonej polską armię przez 5 lat; Macierewicz to największy zbrodniarz polskiej polityki, w kontekście przenośnym, politycznym. To on wywołuje polsko-polską wojnę. Szkodnik, kłamca. On powinien też siedzieć” – orzekł przedstawiciel strony demokratycznej, która ma przywrócić w Polsce praworządność. W razie gdyby ktoś zaniepokoił się faktem, że poseł chce decydować o tym, kto

trafi za kratki,

poseł uspokaja, że „nikogo za darmo się nie wsadza”.

W tym samym duchu, choć z większą charyzmą wypowiadał się Donald Tusk, który udał się do Kluczborka, gdzie ogłosił, że „w ciągu stu dni po wyborach wszystko będzie wyczyszczone”. I to nie jakimiś politycznymi metodami: „Trybunał Stanu to jest pieśczęta, oni będą siedzieć, a nie że odbierze im się prawo kandydowania”. Obiecując przedstawicielom obecnej władzy „uczciwe odsiadki”, były i aspirujący premier wdał się w łzawą opowieść o tym, że ma pięcioro wnuków i „najważniejszym, najmocniejszym pragnieniem i marzeniem jest to, żebym wiedział, że ta piątka maleństw będzie dorastała w kraju, gdzie będzie mniej nienawiści, łajdacstwa, mniej agresji”.

Tusk uważa, że sytuacja, w której jeden z dwóch politycznych obozów będzie wsadzał drugi do pudła, „uwolni polską politykę od tego jadu,

tej agresji” oraz „wymaze nienawiść i pogardę”, albowiem „rozliczenie tego zła nie może mieć na celu zatrucia naszych umysłów i serc, tak żebyśmy się dalej tak nie znosili nawzajem w Polsce, jak to jest za rządów PiS”. Sala pełna wyznawców, uniesiona brawami, najwyraźniej uznała, że sposobem na to, żeby między Polakami nie było nienawiści, jest

wsadzenie wszystkich

nienawidzących. Nie ma wolności dla wrogów wolności...

Tuska obserwuje i komentuje upiorny senator Wadim Tyszkiewicz, obecnie podwieszony pod Holownię, a znany głównie z nienawiści do „biednych z własnej winy”, którzy „żerują” na takich jak on, ciężko pracujących przedstawicielach „klasy średniej”, bo dostają od państwa zasiłki, co powoduje „socjalne tornado”. Tyszkiewicz wezwał szefa Platformy do odpowiedzi w sierpniu, gdy martwe ryby płynęły Odrą: „Nie jestem mściwy, ale proszę o deklarację, że my tym razem im nie darujemy, nie odpuszczymy”. Jakoś nikt nie zwrócił senatorowi uwagi, że jest to wypowiedź z gatunku: „Nie jestem antysemitą, ale Żydów ja nie lubię” – i teraz były prezydent Nowej Soli jest bardzo zadowolony z efektu, jaki wywołał u lidera opozycji: „Nareszcie. Tusk zapowiedział to, na co czekają miliony Polaków. »Będą siedzieć«. To hasło musi być na sztandarach opozycji”.

Tyszkiewicz grozi poważnymi konsekwencjami, w razie gdyby sztandar nie dorosł do jego oczekiwań: „Gdyby tak nie miało się stać, sam dobrowolnie na zawsze odejdę z polityki”. Strata dla demokracji byłaby niepowetowana...

Odarciem parlamentaryzmu z samej siebie nie grozi szefowa koła parlamentarnego Polski 2050 Hanna Gill-Piątek, która podjęła nawet próbę złagodzenia wyrazu Tuszkowych zapowiedzi: „Wyda mi się, że nie było to jednak nawoływanie do wsadzania do więzień”. Tego, w jaki sposób hasło „oni będą siedzieć” nie jest „nawoływaniem do wsadzania do więzień”, pani poseł nie wyjaśniła, wyjaśniła za to swój punkt widzenia: rozliczenie powinno być „twarde”, ale „nie może odbyć się w logice zemsty i odwetu”. Ale odbyć się musi, albowiem „będzie oczekiwane przez społeczeństwo po wygranych przez obecną opozycję wyborach”.

To ostatnie zdanie rozsądnej przeważnie posłanki jest chyba najbardziej niepokojące w ca-

łym tym festiwalu. Prawo i Sprawiedliwość jest partią, którą konsekwentnie od siedmiu lat popiera co trzeci Polak. Prawda – PiS prowadzi

obrzydlivą i prostacką

propagandę za pomocą zawłaszczonych mediów publicznych, co może (choć nie musi) wprowadzać wyborców w błąd, ale nikt nie twierdzi, że wyniki wyborów zostały sfalszowane. Polacy wrzucili do urn 8 051 935 głosów na Prawo i Sprawiedliwość w roku 2019 i 10 440 648 na Andrzeja Dudę w 2020. Sondaże wykazują, że ponad 33 procent nadal popiera PiS; Andrzej Duda cieszy się zaufaniem 52 procent wyborców. Czy te miliony obywateli, którzy ufają obecnemu prezydentowi i chcą głosować na obecną władzę, oczekują równocześnie, że następna władza wsadzi ich do mamra? Czy też może nie należą do „społeczeństwa”, więc z ich oczekiwania nie musimy się liczyć?

Dla jasności: nie moralizuję. Nie chodzi mi o „sprawiedliwość” i o to, żeby „nikt nie czuł się wykluczony”. Ale przy tej temperaturze sporu politycznego urządzenie nagonki na formację cieszącą się tak szerokim poparciem jest pewną drogą do rewolty i załamania demokracji; do tego, żeby i tak już niska legitymizacja całego systemu politycznego w Polsce sięgnęła dna. Czy ktoś naprawdę sądzi, że jak Tusk wsadzi Kaczyńskiego, jego obecni fanatyczni zwolennicy powiedzą: „To jednak był nieuczciwy? A, to sorry, myliliśmy się, więcej nie będziemy go popierać”.

Czy też może czeka nas szturm na sejm w duchu wizyty zwolenników Trumpa na Kapitolu z 6 stycznia 2021 r.?

2 lata temu Urban pisał: „Gdy po maturze zacząłem pracować w prasie, kanclerzem Niemiec był Konrad Adenauer. My w Polsce ganiiliśmy go za to, że osłania byłych hitlerowców i zatrudnia ich do rządu państwa. Sam pisałem, głupio się oburzając, że szefem jego kancelarii jest dr Hans Globke, przed wojną współautor antyżydowskich ustaw norymberskich. Byłem więc bezrozumnym prymitywem. W powojennych Niemczech istniała alternatywa: albo tolerancja wobec nazistów, albo demokracja. Posthitlerowcy z rodzinami stanowili tak liczną grupę wyborców, że politycy, którzy by ich odsuwali od życia publicznego, nie mogliby w wyborach liczyć na większość głosów. Tylko jakaś dyktatura mogłaby ich przesładować. Nie czyniąc sprawiedliwości dziejowej, Adenauer tym niezbędnym zaniechaniem fundował demokrację wyborczą i okazało się, że miał rację. Naziści z czasem powymierali, a demokracja utrwaliła się w Niemczech, trwa i jest wzorowa, podczas gdy w Polsce zdycha. Na przykładzie Adenauera udowodniłem zatem, że byłem osłem”.

Opozycja – jeśli wygra – znajdzie się po wyborach w bardzo podobnej sytuacji jak Adenauer w 1949 r. Będzie miała wybór między oswojeniem ogromnej propisowskiej populacji i przekonaniem jej do siebie a urządzaniem pokazowych procesów i

wsadzaniem facetów,

którzy pewnie na to zasługują (choć nie tak jak ci od Adenauera), ale wciąż mają olbrzymie poparcie, co dla demokracji i spójności społecznej będzie zabójcze. Przez 33 lata „wolnej Polski” nie było w niej więźniów politycznych. Nie byłoby dobrze, gdyby to właśnie „obóz demokratyczny” przywrócił tę szczególną tradycję Polski sanacyjnej i ludowej.

Ale jest też inny element wyścigu o to, kto bardziej powsadza, który budzi mój niepokój.

Jest to otóż akt wewnątrzpozycyjny kanibalizmu niemający nic wspólnego z koniecznym dla zwycięstwa pozyskiwaniem głosów spoza „naszego obozu”. Każdy, kto wobec Kaczyńskiego i jego bandy odczuwa emocję tak silną, że chce ich widzieć w mamrze, pójdzie głosować na opozycję. To są pewne głosy na „stronę demokratyczną”, które ta strona usiłuje sobie dziś nawzajem wydzierać. Natomiast mam wielkie wątpliwości co do tego, czy miękki elektorat PiS, głosujący na politykę socjalną, a nie na zacierzowanie ideologiczne obecnej władzy, da się przekonać do zmiany preferencji wyborczych zacierzeniem drugiej strony. Bardzo też wątpię, że poruszy to tzw. nonvotersów – czyli tych, którzy generalnie wybory mają w dupie, bo politykami pogardzają i im nie wierzą. Zapowiedź igrzysk odwetowych raczej utrwali ich w tej postawie.

For the record: też bym chciała zobaczyć Ziobrę w pudle. Najlepiej pod sztywną celą, z przyjaznym tuzinem pakerów recydywistów; cele są wszak przeludnione. Ale sądzę, że jest to luksus, na który ledwo zipiąca polska demokracja nie może sobie w tej chwili pozwolić.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA
awl@redakcja.nie.com.pl

Stąd do eternitu

Polskie rządy nie muszą gonić króliczka, bo zajęte są usuwaniem azbestu.

Eternit to mieszanka cementu z azbestem, która jest dla współczesnej Polski takim samym symbolem niemożności, jakim był brak papieru toaletowego za komunę. Przez dziesięciolecie PRL-u eternit służył jako najtańsze i najtrwalsze pokrycie dachów. Nie na darmo nosił pochodzącą z angielskiego nazwę: słowo „eternity” oznacza wieczność.

Rak schodzi z dachu

O tym, że zrobione z eternitu dachy rzeczywiście przenoszą do wieczności, świat dowiedział się pod koniec lat 80. XX w., gdy onkologów coś tknęło i zaczęli kojarzyć chorych na nowotwory z tym, że ludzie ci mieli na co dzień do czynienia z włóknami azbestowymi. Wszystkie badania dowodziły rakotwórczego działania azbestowych włókien, które przedostają się do organizmu z wdychanym powietrzem. Okazało się, że poza rakiem wdychanie azbestu jest też przyczyną pylicy azbestowej, zmian opłucnowych i międzybłoniaka. Wszystkie choroby mają długi okres inkubacji i mogą ujawnić się nawet po trzydziestu latach, a potem zabić.

W połowie lat 90. świat rzucił się do usuwania azbestu z otoczenia. Polska też. W 1997 r. jeszcze za rządów Akcji Wyborczej Solidarność weszła ustawa zakazująca produkcji i sprzedaży wszystkiego, co ma w sobie azbest, i nakazująca usuwanie tego cholerstwa zgodnie z zasadami bezpieczeństwa. Według przepisów jeśli było 0,1 proc. azbestu, to cały ten materiał należało traktować jako zanieczyszczony. Ówczesne szacunki mówiły, że do usunięcia będzie ok. 15 mln ton rakucerogenego syfu. Pojawiły się nawet pierwsze pieniądze na dofinansowywanie tych, którzy chcieli się pozbyć eternitu. Gminy miały pozalać ekipy, które jeździłyby po chętnych i demontowały rakotwórcze dachy. Mówiono i pisano, że już po kilku latach azbestowego problemu w Polsce nie będzie.

Kancerogen z sufitu

Za rządów SLD powstał „Program usuwania azbestu i wyrobów zawierających azbest stosowanych na terytorium Polski na lata 2002–2032”. Były plany, powstały procedury i nawet pojawiły się pieniądze dla gmin na utylizację. Stworzono ogólnopolski spis azbestu do utylizacji. Wyszło tego 15,5 mln ton.

Potem były ważniejsze sprawy – referendum akcesyjne i IV RP. Walka z azbestem rozgrywała się więc tylko na papierze. Za Tuska problem do rządu wrócił i wyszedł zeń jako „Program usuwania azbestu i wyrobów zawierających azbest na lata 2009–2032”. W nim to co wcześniej, czyli procedury i dofinansowanie, tym razem jed-

nak wsparte funduszami z Brukseli. Oczywiście po raz kolejny policzono zalegający wszędzie azbest – tym razem oszacowano go na nieco ponad 6 mln ton. Niemal 10 mln ton w jakiś cudowny sposób zniknęło. Cudowny – bo do tego czasu na certyfikowane wysypiska w całym kraju trafiło niecałe pół miliona ton azbestowego gruzu.

Na unijną kasę przeznaczoną do walki z azbestem oprócz rządu rzuciła się także walcząca o dobrostan środowiska Federacja Zielonych GAJA i zaczęła prowadzić „Ogólnopolską kampanię informacyjno-edukacyjną na rzecz usuwania azbestu i wyrobów zawierających azbest”. Ekolodzy przestali sobie zawracać azbestem głowę na początku 2014 r., gdy szmal unijny na ten cel się skończył. Bez kasy z Brukseli azbest jakoś im nie przeszkadzał.

Na rozkurz

Tak samo jak mieszkańcom wsi. Ci demontaż dachów z eternitem odpuścili. Świadomość rakotwórczego sąsiedztwa do nich nie docierała. Stąd na wsiach chałupy, stodoły, chlewnie i obory jak miały dachy z eternitu, tak mają je do dziś.

Co innego w dużych miastach. W związku z tym, że szlag trafił mnóstwo firm, a cena zurbanizowanej ziemi poszła w górę, zakłady plantowano i na ich miejscu wznoszono osiedla mieszkaniowe i biurowce. Ponieważ w rachunku ekonomicznym deweloperów liczyła się każda złotówka, to brali dopłaty antyazbestowe, zatem większość kasy przeznaczonej na likwidację azbestu płynęła do miast.

Po przejściu władzy przez PiS na politykę antyazbestową po raz pierwszy rzuciła okiem Najwyższa Izba Kontroli. Wyszło jej, że przez 13 lat rządowej walki z azbestem zutylizowano ledwie 6 proc. wyrobów azbestowych, w związku z czym jeśli będzie to szło w tym samym tempie, to azbestu nie pozbędziemy się z Polski przez kolejne 200 lat.

PiS wykorzystało raport NIK do przywalenia poprzednikom i do zapowiedzi, że teraz walka z azbestem ruszy z kopyta. W 2017 r. pisowska ochrona środowiska zaczęła opowiadać, że tylko w 2016 r. usunięto 2,13 mln ton wyrobów azbestowych. Była to bzdura, bo rok później rząd opublikował bilans azbestowy, z którego wynikało, że od roku 2002 zutylizowano łącznie ledwie 787 tys. ton azbestowego syfu. Co ciekawe, w bilansie jak byk stało, że początkowa waga rakucerogenego materiału wynosiła tyle, ile podała Platforma, czyli trochę ponad 6 mln ton.

Mamy końcówkę 2022 r., założone na 30 lat programy utylizacji odpadów azbestowych działają już lat 20. Najnowszy bilans walki z budowlanym rakucerogenem wygląda zatem nader nieciekawie.

Po pierwsze, azbest do likwidacji urosł PiS-owi o 2,5 mln i jest go nie 6, ale 8,5 mln ton. Natomiast waga usuniętego azbestu w najnowszych badaniach nadal nie poraża. Jest tego 1,45 mln ton. Do zniszczenia zostaje więc jeszcze ponad 7 mln ton rakucerogenego gruzu.

Statystyki, jak widać, nie trzymają się kupy. Nikt nie jest w stanie wytłumaczyć, jak zniknęło policzone skrupulatnie ponad 20 lat temu ok. 7 mln ton materiałów azbestowych, których przecież pod groźbą kary nie można było tknąć właścicielowi bez faktury wyspecjalizowanej firmy.

Rakoodporni

Odpowiedzi na to pytanie jest jednak w stanie udzielić każdy mieszkaniec wsi. Wielu wskazuje na drogi dojazdowe do pól, gdzie demontowane z dachów kruszywo wyładowało i skąd – gdy jest sucho i wietrznie – rozwiewa się po okolicy. Na wsiach nikt spisany eternitem się nie przejmował i jak trzeba było z powodu pękania go ściągać, to się ściągało i „utyliizowało” we własnym zakresie. Jeśli komuś płyty eternitowe na dachu połamał wiatr

Brawo, Panie Pośle! Z takimi egzemplarzami jak panna Pawłowiczówna nie wolno się pierdolić w tańcu. Należy jebać je wszystkimi dostępnymi środkami, byle legalnymi...

Pan poseł Trela nie zostałby tygodniowym Mózdzkiem, gdyby przywiązywał większą wagę do języka. W audycji radiowej „Wywiad polityczny” (TOK FM) był uprzejmy powiedzieć, że „Pawłowicz jest świętą krową ze stajni Jarosława Kaczyńskiego”.

Szanowny Panie Pośle, miejsce, w którym przebywają krowy, nazywa się oborą, a nie stajnią. W stajni przebywają konie – ssaki bardziej szlachetne od Pawłowiczówny. □

czy rozbił grad, to nie wołało się ludzi w maskach, tylko brało gwoździe i młotek albo wiertarkę i naprawiało samemu. W ciągu 20 lat na polskiej wsi zapomniano o strachu przed azbestem. Eternit nikomu, oprócz miastowych, tam nie wadzi.

Kilka dni temu minister rolnictwa Kowalczyk, z którego z powodu azbestu śmiali się koledzy z innych krajów, postanowił coś z tym zrobić. Po pisowsku, czyli opowiadając o pieniądzach, które PiS da rolnikom. Kasa miała być na dofinansowanie nowego dachu, po tym jak się zlikwiduje stary eternitowy. Państwo ma dopłacać 40 zł za metr kwadratowy powierzchni dachu na budynku gospodarskim. Ale tylko do 500 mkw.

Na większość stodoł i obór to wystarczy, ale nowe przepisy nie wspominają o krytych azbestem budynkach mieszkalnych. Lecz nie z powodu tego braku wieś ma zlewkę. Chłopstwo śmieje się z tego, jakim trzeba być bezczelnym kretynem, by coś takiego zaproponować. Złazszcza że dotacji do dachu nie wolno łączyć z dotacją na usunięcie eternitu, a na dodatek pieniądze dostanie się wtedy, gdy za własną kasę zmieni się dach.

Ludzie ze wsi otwierają kalkulatory w smartfonach i zaczynają liczyć. Najpierw rolnik musi wydać ponad 1000 zł na zabranie eternitu. Potem kupić coś, co na dach położyć. Najtańszą papę kupi się jeszcze po 25 zł za metr kwadratowy – czyli mniej niż 40 zł od Kowalczyka. Tyle że papy nie położy się na krokwiach, trzeba więc doliczyć deski, gwoździe i robociznę. Wówczas metr pokrycia dachu wyniesie co najmniej 150 zł. Jeśli się nie chce kłaść desek, to trzeba kupić blachodachówkę i nająć fachowców. Ceny blachodachówki zaczynają się od 60 zł za metr. Jeżeli się do tego doda elementy wykończeniowe i robotników, to z dwóch stów za metr dachu się nie zejdzje. Przy dwustu metrach poszycia nad dużą oborą robi się więc całkiem droga inwestycja.

Nie znajdzie się więc na wsi żaden idiota, który za hajs zmieni hulaję jako tako dach z eternitu, tylko po to żeby minister Kowalczyk miał się czym pochwalić w statystykach.

W związku z czym

**eternitowe dachy
niczym niegdysiejsze
strzechy będą
przez dziesiątki lat
tradycyjnym elementem
architektonicznym
polskiej wsi.**

Skutecznie dając raka umiłowanej przez PiS części narodu i udowadniając światu, że Polak potrafi wszystko – z wyjątkiem pozbycia się azbestu.

TADEUSZ JASIŃSKI



Miliarderka Grażyna Kulczyk na łamach „Gazety Wyborczej” roniła krokodyły łzy nad lenistwem młodych: „My (...) pracowaliśmy dzień i noc, sprawiało nam to ogromną frajdę. Dziś w oczach przedstawicieli młodego pokolenia nie widzę tego błysku, zapału. Młodzi zerkają na zegarek, nie chcą pracować dłużej, niż przewiduje ustawa. (...) Ja tak nie umiem”.

Kulczykowa dawała siebie za wzór: ona z radością pracowała po 20 godzin dziennie. Podkreślała, że praca jako taka jest wartością, „o którą tak naprawdę w człowieczeństwie chodzi”. Przyznajmy, że młodzi – w oczach Grażyny K. – są nad wyraz podli, bo ich zdaniem życie zaczyna się po pracy, gdy odpalą Netfliksa, zamówią pizzę i spotkają się z przyjaciółmi.

Takim życzeniom niewdzięczników wychodzą naprzeciw od dwustu w sumie lat lewicowi politycy i związkowcy, walczący o skrócenie czasu pracy (stąd zainteresowanie partią Razem, postulującą skrócenie tygodnia roboczego). To jeden z kluczowych frontów walki świata pracy ze światem kapitału.

Praca gównie warta. Nieżyjący już antropolog David Graeber przed dekadą opisał zjawisko „gównie wartych prac”. Zwrócił uwagę, że w krajach najbardziej rozwiniętych trzy czwarte pracowników zatrudnionych są na stanowiskach usługowych, sprzedażowych, biurowych i menedżerskich. To gówniane zajęcia, prowadzące się do wykonywania telefonów, aby coś sprzedać, wypełniania tabel w Excelu i tworzenia biurokracji – co ważne, nie tylko publicznej, ale i korporacyjnej – która żywi się samą sobą i jest totalnie wyalienowana od świata zewnętrznego.

Krezusi kontra „zetki”

Bogacz rządzi, bogacz radzi, bogacz na pewno cię zdradzi.

Anarchista Graeber zwrócił uwagę, że pracownicy transportu, pielęgniarzy, nauczyciele czy śmieciarze wykonują „prawdziwą pracę”, bez której społeczeństwo nie mogłoby się obejść. I nie jest przypadkiem, że takie profesje są nisko opłacane, bo uchodzą za podłe i niegodne klasy średniej i wyższej.

Klasy średnie i wyższe zajmują się choćby tzw. kulturą wysoką. O Grażynie Kulczyk można przeczytać na stronach dla bogatych nierobów, że jest nie tylko kolekcjonerką i mecenaską sztuki, ale i „wizjonerką”. 3 lata temu media płakały, że miliardka otworzyła muzeum w Szwajcarii, co na łamach rodzimego „Vogue’a” nazwano „porażką Polski” i „blamążem dwóch polskich miast: Poznania i Warszawy”.

Mający kasę i aspirujący do niej kochają dobroczynność i organizacje pozarządowe. To z kolei specjalność Dominiki Kulczyk, córki Grażyny i Jana, założycielki i prezeski Kulczyk Holding. Media lokalne i ogólnopolskie, papierowe i internetowe donoszą o kolejnych aktach dobroczynności Kulczyków. A to pomaga ukraińskim uchodźczynom. A to kupuje podparyski dom Marii Skłodowskiej-Curie. A to martwi się kobietami na całym świecie, których nie stać na podpaski. W sumie jej fundacja prowadziła tzw. projekty w kilkudziesięciu krajach.

Brat Dominiki, Sebastian, wspiera młodych rodzimych bystrzaków technologicznych, przyszłych Billów Gatesów. Miliarder ma też garść rad dla chcących być takimi jak on. Jak ironicznie śpiewał punkowy nihilista Marszałek w kawałku „Tajemnice sukcesu”: „Sebastian Kulczyk zdradza/ W ekskluzywnym wywiadzie tajemnice swojego sukcesu./ Musisz ciężko pracować./ Musisz bardzo, bardzo chcieć./ Jeszcze się dobrze uczyć./ Może w jakimś przyszłym życiu też się urodzisz bogaty”.

Praca niejedno ma imię. Warto odróżnić pracę twórczą, ciekawą, często społecznie użyteczną, od nudnej, otopiającej i czyniącej z człowieka dodatk do maszyny (kiedyś) czy technologii cyfrowych (obecnie). Wszystko to wynika z bezprecedensowej skali podziału pracy w kapitalizmie, który w sposób nieznan w dziejach zwiększył efektywność produkcji. Jeden z ojców liberalizmu, Adam Smith, wyjaśnił to na przykładzie szpilek: samodzielnym rzemieślnikiem wytworzył ich dziennie 240 razy mniej niż ten sam człowiek w sytuacji podziału produkcji między kilku robotników.

Podział pracy ma jednak negatywne skutki uboczne. Ktoś, kto wykonuje miesiącami czy latami kilka prostych czynności, konstatował Smith, staje się tak ciemny i ograniczony, jak tylko może być człowiek. Francuski liberał

Alexis de Tocqueville stał na stanowisku, jakże miłym dla bogaczy, przeciwstawiania robotnika właścicielowi. Ten pierwszy – używając znanego określenia pewnego mieszkańca Zoliborza – to gorszy sort, ludzie wybrakowani i niskiej jakości. Właściciel to człowiek światły, przedsiębiorczy, coraz zmyślniejszy, ogarniający całość funkcjonowania swego biznesu, wciąż się rozwijający.

Oczywiście historia dowodzi, że ludzkie robocze woły, traktowane niczym półzwierzęta, często bywały sprytniejsze od swoich panów i uchylały się od napełniania kieszeni właścicielom ziemi czy fabryk. Tak było w systemach niewolniczych, feudalnych, nie inaczej jest w kapitalizmie.

Znamienne, że już na poziomie etymologii pojęcie pracy w wielu językach wiązało się z przymusem, znaniem i trudem. Pisał o tym swego czasu Jeremy Seabrook w „Guardianie”, który zwrócił uwagę choćby na fakt, że globalny „robot” wywodzi się od słowiańskiej „raboty”, oznaczającej aktywność przymusową, wymuszoną lub służebną. Z kolei francuskie słowo „travail” i hiszpańskie „trabajo” mają początki w łacińskim „trepalia-re”, oznaczającym „torturować, sprawiać ból” czy „umęczyć na śmierć”.

Praca nie czyni wolnym. Pokolenie Z (urodzeni po 1995 r.) chce normalnie pożyć. Patrzy na swoich rodziców

czy starsze rodzeństwo, harujących często od zmierzchu do świtu, i wie, że starsi są ruchani na każdym kroku przez szefów czy przełożonych. Wracają do domu jak zombie i nie mają czasu na normalne życie. Są – co kochają neoliberalni komentatorzy – „elastyczni”, ale ta elastyczność sprowadza się do zginania karku w obliczu silniejszych od siebie.

Śląski zespół Castet doskonale oddaje nastroje młodych wobec pracy na etacie w kawałku „Zabij szefa”:

Gwoli ścisłości, postawy „zetek” świadczą o tym, że nasza młodzież – wreszcie! – bierze przykład z jakże kochanych nad Wisłą i Odrą Amerykanów. W ojczyźnie kapitalizmu, kraju, gdzie podobno każdy pucybut może być milionerem, od kilkunastu lat sondaże opinii publicznej pokazują bezprecedensową sympatię młodych okazywaną socjalizmowi. Od roku 2018 w grze o dusze młodych Amerykanów socjalizm remisuje z kapitalizmem, lecz długofalowe tendencje preferencji ideowych zdają się sprzyjać socjalizmowi.

„Zetki” wiedzą, że Marks miał rację – w kapitalizmie bogaci się bogacą, a biedni biednieją. Młodzi odmawiają wykonywania bezsensownej, oglupiającej i społecznie bezużytecznej harówki, która nigdy nie pozwoli im na godne życie. Buntują się i w tym cała nadzieja na lepszy sprawiedliwszy świat.

Norwegowie bez jaj

Jak Ziobro pokochał europejskie pieniądze.



Rys. PATRYK SRODZYŃSKI

„W świetle ostatnich wydarzeń w Polsce i decyzji Norweskiej Administracji Sądowej jest jasne, że władze norweskie nie podpisały umowy z Polską w sektorze wymiaru sprawiedliwości finansowanego ze środków Europejskiego Obszaru Gospodarczego. Decyzja ta jest wyraźnym sygnałem dla polskich władz, który świadczy o trosce norweskiego rządu o rozwój praworządności i niezależności sądów w Polsce” – stwierdził 28 lutego 2020 r. sekretarz stanu w norweskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych Audun Halvorsen.

Spicz ten oznaczał tyle, że resort Zbigniewa Ziobry może pożegnać się z niemal 300 mln zł, które miał dostać od Norwegów.

Od tej pory minęło 2,5 roku; w tym czasie „rozwój praworządności i niezależności sądów w Polsce” się nie zmienił, a tymczasem...

„W ramach programu »Sprawiedliwość« finansowanego ze środków norweskiego mechanizmu finansowego realizujemy 2 ważne aspekty: przeciwdziałania przemocy domowej i skutecznego wsparcia służby więziennej” – powiedział wiceminister sprawiedliwości Marcin Romanowski kilka dni temu podczas konferencji dotyczącej programu. Romanowskiemu towarzyszyli przedstawiciele Dyrektoriatu Norweskiej Służby Więziennej oraz Ambasady Królestwa Norwegii w Polsce.

Norwegia co prawda nie należy do Unii Europejskiej, ale szmal płaci Polsce dlatego, że Polska jest członkiem UE. Ba, Polska jest największym beneficjentem funduszy Mechanizmu Finansowego Europejskiego Obszaru Gospodarczego, czyli tzw. funduszy norweskich. Norwegia, Liechtenstein i Islandia w zamian za możliwość współpracy gospodarczej na obszarze UE przeznaczają krajom unijnym pieniądze jako bezzwrotną formę pomocy rozwojowej. Czyli de facto subwencje.

W rozrachunkowym okresie 2014–2021 Polsce przypadło ok. 8 mld koron norweskich, czyli 3,35 mld zł rozdzielonych na różne programy.

Na przedsięwzięcia polskiego wymiaru sprawiedliwości miało być ok. 700 mln koron, czyli jakieś 292 mln zł. Z tego z kolei 201 mln zł miało pójść na polski sektor penitencjarny, a ok. 25 mln zł na zwalczanie przemocy domowej.

Okres finansowania skończył się rok temu. Hajsu nie było. Był za to wspomniany norweski szlaban na wypłatę kasy Ziobrze. Ba, do tej pory norweskie sądy robią to, co 3 listopada 2021 r. Sąd Rejonowy w Vestfold pod Oslo, który odmówił ekstradycji podejrzanego o przestępstwa narkotykowe 34-letniego Polaka z powodu „złego stanu polskiej praworządności”. Uzasadnienie tego werdyktu było niemal tożsame z wcześniejszym o rok oświadczeniem norweskiego MSZ. Sędzia stwierdził bowiem, że „rozwój sytuacji w Polsce znacznie się pogorszył” i wydanie polskiego obywatela będzie sprzeczne z norweską konstytucją, która gwarantuje prawo do rzetelnego procesu przed niezawisłym sądem. Odmawiając ekstradycji, norweski sąd oparł się na „ostatnich niezwykle dramatycznych wydarzeniach w Polsce, dotyczących niezależności sądów oraz sędziów, w tym niedawnych orzeczeniach Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości oraz Europejskiego Trybunału Praw Człowieka”.

Dlaczego zatem norweska kasa jednak się pojawiła? Dlatego ludzie Ziobry dzielą miliony na tworzenie pilotażowych kompleksów penitencjarnych, z których każdy składa się z więzienia, hali produkcyjnej i półotwartych zakładów rehabilitacji osadzonych? W ramach tych projektów „personel służby więziennej jest odpowiednio przeszkolony oraz zostały wdrożone programy reintegracji i współpracy międzyinstytucjonalnej”. Z jakiego powodu Norwegowie uruchomili kasę i zatkali uszy i oczy, żeby nie widzieć kolejnych Ziobrowych nowelizacji prawa więziennego, dla których wspólnym mianownikiem było motto: „Więzienie nie będzie, jak dotychczas, ośrodkiem wczasowym”?

Niemożliwe, aby Norwegowie nie wiedzieli, że w przeciwieństwie do norweskich więzień w Polsce kłubi się tak samo jak kilkadziesiąt lat temu.

Żeby nie połapali się, że w naszych więzieniach ma być jeszcze mniej humanitarnie – i to za kasę z Oslo.

Zogłoszanego przez Romanowskiego programu 2 mln euro zostaną przeznaczone na – jak to ujęli ziobrzyści – „poprawę systemu zapobiegania przemocy w rodzinie i przemocy ze względu na płeć”. Celem projektu ma być przyjęcie oraz wdrożenie ogólnokrajowej skutecznej, kompleksowej i skoordynowanej polityki, która będzie zwalczać wszelkie formy przemocy. Wychodzi na to, że Norwegowie byli ślepi i głusi, gdy Ziobro wykrzykiwał, że Polska powinna wyjść z tzw. protokołu stambulskiego, czyli międzynarodowej umowy dokładnie opisującej, czym jest przemoc w rodzinie. Jak można było dać choć jedną koronę komuś, komu przemoc domowa zwisa i powie, bo ma jej własną definicję?

Norwegowie wiedzieli, i to tylko dzięki nim Ziobro protokół stambulski odpuścił. Wbrew bowiem temu, co się wydaje, polski minister sprawiedliwości uparł się na norweski szmal i równie skutecznie, jak dyskretnie z Oslo negocjował. Efekt jest dla Ziobry dodatni. Norwegowie przestali blokować fundusze, ale nie w zamian za wolne sądy i respektujące europejskie normy więzienia, ale za to, że polskie Ministerstwo Sprawiedliwości przestanie uskuteczniać w Królestwie Norwegii zmasowany atak medialny na tamtejszy system opieki nad nieletnimi. Nie będzie też podważać „praktyki norweskich sądów aprobujących odbieranie dzieci biologicznym rodzicom przez norweskie instytucje opiekuńcze”.

Barnevernet, czyli norweska instytucja zajmująca się dobrem dziecka, ma już nie być przy wsparciu polskiego Ministerstwa Sprawiedliwości ciągnięta przed europejskie trybunały. Dzieci, odebrane w Norwegii polskim rodzicom i oddane pod opiekę rodzinom norweskim, mają już nie mieć azylu po uprowadzeniu przez krewnych i przekroczeniu granicy Rzeczypospolitej.

Polskie Ministerstwo Sprawiedliwości przymknęło oczy na piętnowaną przez siebie przez lata „niedolę polskich dzieci” nad fiordami, a Norwegowie przymkną oko na polskie pierdole, bite kobiety i prześladowanych sędziów. Polski resort sprawiedliwości dostał pieniądze i promesę, że może je wydać do końca 2024 r.

Ziobro może teraz bezkarnie wyzywać Morawieckiego od miękiszonów. Rok temu, jadąc słownie po praworządnościowych dylematach Zachodu, mówił: „Na szczęście my – jako Polska – możemy się temu przeciwstawiać i mówić »nie«, jeśli ktoś chce nas traktować gorzej niż inne kraje UE”.

Wówczas wszyscy się z tego śmiali. Dziś – z powodu norweskiej pobłażliwości – wychodzi na to, że Ziobro miał, kurwa, rację.

TADEUSZ JASIŃSKI

Jak menedżerowie z PiS
zarzynają stocznie,
marnotrawiąc
publiczne pieniądze.

Janusze biznesu

ANDRZEJ SIKORSKI

Jednym z głównych haseł wyborczych Prawa i Sprawiedliwości była odbudowa przemysłu okrętowego. Zgodnie z zapowiedziami Jarosława Kaczyńskiego i jego klakierów Polska miała stać się potęgą w budowie statków. Pisowska sitwa szybko zabrała się do urzędywistniania obietnic. W 2016 r. utworzono dziwny twór – Fundusz Rozwoju Spółek (FRS) – który miał wspomóc nierentowne i niewydolne stocznie, tak aby stały się konkurencyjne i mogły na siebie zarabiać. Nadzór nad FRS sprawuje minister infrastruktury **Andrzej Adamczyk**. W FRS rząd wpompował ponad 300 mln zł.

Prezesem FRS został **Paweł Kolczyński**, który po kilku miesiącach pracy porzucił zaszczytne stanowisko, gdyż znalazł sobie lepszą fuchę. Poszukiwania nowego menedżera, który mógłby pokierować FRS i wziąć odpowiedzialność za ratowanie przemysłu stoczniowego, zajęły pół roku. W międzyczasie powołano wiceprezesa spółki. Został nim **Artur Sociński**, który jednak w FRS nie zagrzał miejsca zbyt długo.

W 2019 r. na czele FRS stanął **Paweł Brzezicki**, uważany za jednego z najlepszych polskich menedżerów sektora morskiego. Po kilkunastu miesiącach został jednak odwołany w wyniku konfliktu z ministrem gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej **Markiem Gróbarczykiem**. Brzezicki, którego zadaniem było ratowanie polskiego przemysłu stoczniowego, podobno forsował pomysł, żeby statki budować w stoczniach... zagranicznych.

W 2021 r. prezeską FRS została **Maria Skubniewska**, urzędniczka Ministerstwa Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej.

...

Pierwszą stocznia, która miała rozwinąć skrzydła pod auspicjami FRS, była Morska Stocznia Okrętowa „Gryfia”, ta sama, która budowała propagandowy prom pasażerski. W 2017 r. słynną stępkę pod jego budowę położył **Mateusz Morawiecki** (wówczas wicepremier) z pisowskimi notablami podczas hucznej uroczystości. Listy gratulacyjne z tej okazji przysłali premier **Beata Szydło** i prezydent **Andrzej Duda**.

Zapowiadana inwestycja okazała się oszustwem. Wyszło na jaw, że nie było żadnych planów budowy promu, a warta kilka milio-

nów złotych stępka rdzewieje na nadbrzeżu i być może trafi na złom.

„Gryfia” również nie miała szczęścia do prezesów, od kiedy władzę przejęło PiS. Obecny (chyba już szósty) prezes **Krzysztof Zaremba**, z wykształcenia politolog, ma opinię chama. Ten był poseł PiS bez jakiegokolwiek doświadczenia i wiedzy z zakresu budowy statków znany jest w Szczecinie z kolekcjonowania posad w spółkach skarbu państwa i posługiwania się malowniczym językiem. Do posłów Platformy Obywatelskiej zwracał się „Guten morgen”, a także „Herr” i „Won!”. Nawiązując do nazwiska posła Arkadiusza Marchewki, mówił o dialogu „na poziomie warzywa”.

Zaremba jest nie tylko chamem, ale też wykazuje się wyjątkową beczelnością.

Gdy **Rafał Zahorski**, pełnomocnik marszałka województwa zachodniopomorskiego ds. gospodarki morskiej, wytknął mu brak kompetencji i znajomości angielskiego (który na poziomie specjalistycznym jest niezbędny na stanowisku prezesa stoczni), Zaremba poczuł się urażony i pozwał Zahorskiego do sądu. Sprawę przegrał z kretelem. Nie tylko nie przedstawił dyplomów ani certyfikatów potwierdzających znajomość angielskiego, ale nawet nie spróbował przetłumaczyć stoczniowej dokumentacji i odmówił rozmowy w języku Szekspira z Zahorskim na tematy związane z branżą morską i sektorem stoczniowym. Zamiast tego Zaremba przedstawił świadków (swoich asystentów), którzy mieli potwierdzić jego rzekome kompetencje językowe, ale,

jak się okazało, oni również nie władali angielskim.

...

Wróćmy do stoczni... W skład „Gryfi” wchodziły 2 zakłady remontowe – w Szczecinie i Świnoujściu. Aby ratować tonącą stocznia, prezes Zaremba wpadł na „genialny” pomysł likwidacji zakładu remontowego w Świnoujściu, wyrzucenia na bruk dwustu pracowników i sprzedaży nieruchomości (budynków, nabrzeża, portu) prywatnej spółce kontrolowanej przez kapitał zagraniczny. Zaremba zachował się jak pijany chirurg, który wyciął pacjentowi zdrowe płuco, zostawiając zajęte przez nowotwór. Zlikwidował bowiem bardziej dochodową część stoczni, mającą zlecenia i położoną korzystniej nad Bałtykiem, żeby ratować nierentowną część w Szczecinie.

Zgodnie z planami nowy właściciel na terenie dawnej stoczni miał otworzyć terminal przeładunkowy. Godzącą w bezpieczeństwo i interesy RP transakcję (państwo nie powinno wyzybywać się portów i nadbrzeży wraz z infrastrukturą, co zarzucał Platformie prezes **Jarosław Kaczyński**) w ostatniej chwili zablokowała Najwyższa Izba Kontroli, interweniując u premiera Morawieckiego. Zaremba dopiął jednak swego. Zakład w Świnoujściu został sprzedany, tyle że innej państwowej spółce – Zarządowi Portów Morskich w Szczecinie i Świnoujściu.

...

Ratunkiem dla „Gryfi” miała być budowa doku (konstrukcji potrzebnej do remontu statków), i to nie byle jakiego, bo największego na Bałtyku. Umowa na budowę została podpisana w 2020 r., a dok miał być gotowy w maju 2022 r. Koszt inwestycji oszacowano na 123 mln zł.

Wykonawca doku nie został wybrany w przetargu, ale był wskazany przez FRS. Została nim Stocznia Szczecińska „Wulkan”, której właścicielem jest FRS. Czyli zamiast wybrać najkorzystniejszą ofertę na rynku, wybrano firmę po znajomości.

Umowę podpisano, ale nikt nie panował nad jej dotrzymaniem. Kilkrotnie zmieniano koncepcje i parametry techniczne doku, zmieniali się projektanci i inżynierowie nadzorujący przebieg prac. Szybko okazało się, że koszty budowy są o wiele większe, niż zakładano. Według moich

informatorów mogą przekroczyć nawet 200 mln zł, a w takim wypadku cała inwestycja będzie nieopłacalna. Dok miał być wzięty w leasing, a przy tak wielkich kosztach (które nie były brane pod uwagę) nigdy nie zostanie spłacony.

To jednak nie wszystko. Gigantyczny dok (o długości 236 m i szerokości 47 m) musi mieć niezbędną infrastrukturę cumowniczą oraz specjalną głębię, których wykonanie pochłonie ponad 30 mln zł. Pieniądze na ten cel pójda ze sprzedaży zakładu w Świnoujściu. Jeśli dok nie zostanie wybudowany na warunkach, które gwarantują jego spłatę, to miliony złotych na stworzenie infrastruktury zostaną, nomen omen, utopione.

Kolejnym poronionym pomysłem była budowa czterech lodolamaczy dla Wód Polskich. Dlaczego pomysł był poroniony? Bo z góry założono (już na etapie złożenia oferty!), że „Gryfia” na tym interesie straci kilka milionów złotych. Ale nie zysk firmy był w tym wypadku istotny, lecz efekt propagandowy. Politycy PiS opowiadali, że ratują miejsca pracy, a ciemny lud z wdzięczności będzie na nich głosował.

...

Jednak takie zabawy w socjalistyczne zarządzanie mogą zakończyć się tragicznie, szczególnie jeśli za miedzą trwa wojna. Otóż „Gryfia” otrzymała z Ministerstwa Obrony Narodowej zlecenie remontu okrętu ORP „Lublin”. I w tym przypadku z góry założono, że stocznia na tym interesie straci kilka milionów złotych (sic!). Okręt miał być gotowy już w maju 2019 r., ale kilkakrotnie zmieniano terminy i łajba nadal nie jest zdana do użytku. Nie wiadomo, kiedy będzie. ORP „Lublin” jest jednym z pięciu okrętów transportowo-minowych wchodzących w skład 8. Flotylli Obrony Wybrzeża, a opóźniający się termin jego powrotu do służby wpływa na osłabienie zdolności bojowych Marynarki Wojennej, a co za tym idzie – na bezpieczeństwo Polski.

Sytuacja „Gryfi” pod zarządem prezesa Zaremby wygląda tak: firma jest pod kreską, prowadzi działalność, która przynosi straty. FRS pompuje kolejne miliony w nieudolnie zarządzaną stocznia, marnotrawiąc publiczny majątek. Najgorsze jest to, że minister Adamczyk nie przerwie tego szaleństwa, bo wydaje mu się, że wszystko jest w porządku. □

nie@redakcja.nie.com.pl

Pamiętaj, narodzie, o przywódców rodowodzie.

Starsi

W państwie PiS jak w operetkowej republice bananowej: publicznie celebrowane są kolejne rocznice śmierci rodziców przywódców państwowych.

Mama

Od 2016 r. fetowane są hucznie rocznice zmarłej w 2013 r. Jadwigi Kaczyńskiej. Co prawda rodzicielka prezesa PiS niczym szczególnym się nie wyróżniła, może oprócz tego, że powiła bliźniaki, ale każdego roku w styczniu rządowe media robią z niej bohaterkę na miarę Matki Teresy. Np. w 2018 r. w głównym wydaniu „Wiadomości”, „Teleexpressie” i w TVP Info puszczono spot z archiwalnymi zdjęciami i wypowiedziami zmarłej oraz wspomnieniem Kaczyńskiego, który mówił, że mama „była człowiekiem skromnym”, a także była „miłą, bliską ludziami i taka niesłychanie wręcz ujmująca”, oraz że „była kimś, kto pokazał, że w trudnych, bardzo trudnych czasach można żyć uczciwie”.

Żelaznym punktem rocznicowych obchodów śmierci Kaczyńskiej stały się msze w kościele pw. Wszystkich Świętych w Starachowicach. Na „prywatnych” uroczystościach relacjonowanych na żywo przez TVP meldują się oprócz prezesa i najbliższej rodziny członkowie rządu i władz partyjnych, choć zdecydowana większość polityków nie znała Kaczyńskiej.

Matka bliźniąt, która dzieciństwo i młodość spędziła w Starachowicach, została honorową obywatelką tego miasta, ma swoją ulicę, a na pamiątkowej tablicy w Panteonie Pamięci Narodu Polskiego na placu przed kościołem Wszystkich Świętych wyryto inskrypcję, która nie pozostawia wątpliwości, za co tak bardzo wielbi ją suweren: „**Jadwidze Kaczyńskiej z wdzięczności za dar życia Prezydenta i Premiera RP**”.

Tata

Co ciekawe, Kaczyński i podległa mu machina propagandowa wymazali z pamięci ojca, który w przeciwieństwie do Jadwigi był człowiekiem zasłużonym. Porucznik Rajmund Kaczyński działał w konspiracji od 1941 r. najpierw jako żołnierz Związku Walki Zbrojnej, a potem Armii Krajowej. Walczył w powstaniu warszawskim. Podczas szturm na Tor Wyścigów Konnych na Służewcu został poważnie ranny. W wyniku postrzału stracił kciuk prawej ręki. Po kapitulacji Mokotowa trafił do niewoli niemieckiej, skąd uciekł. Po wojnie był inżynierem i nauczycielem akademickim Politechniki Warszawskiej.

Ojciec

Skoro rocznice śmierci matki naczelnika Polski są fetowane na 4 fajerki, to propaganda PiS musi co roku przypominać suwerenowi o rocznicy śmierci ojca premiera.

Kornel Morawiecki odszedł do Domu Ojca 30 września 2019 r. W PRL był jednym z przywódców mało znaczącej, ale krzykliwej Solidarności Walczącej, która nie chciała prowadzić dialogu z władzą, ale nawoływała do ulicznych burd i starć z milicją. Brak racjonalnego programu politycznego i ekstremistyczne hasła spowodowały, że Morawiecki nie był poważnie traktowany przez liderów podziemnej „Solidarności”. W wolnej Polsce znalazł się na marginesie polityki aż do 2015 r., gdy został posłem z listy Kukiz'15 i wspierał Kaczyńskiego.

Pomysłowy Dobromir

Rządowe media i Instytut Pamięci Narodowej, które z zadaniem celebrować rocznice śmierci Morawieckiego, budują jego legendę nie tylko jako zasłużonego opozycjonisty, ale – co już jest groteskowe – jako pierwowzór Angusa MacGyvera, bohatera amerykańskiego serialu, który za pomocą przedmiotów codziennego użytku radził sobie w każdej trudnej sytuacji. W specjalnej publikacji IPN z okazji 3. rocznicy zgonu Morawieckiego (były też publikacje pierwszo- i drugorocznice) przypomniano, że „w środowisku studentów szybko stał się postacią legendarną”, dlatego że „jeździł samochodem, który dawno zdawał się przekroczyć stan ostatecznej śmierci technicznej”, lecz „pomimo permanentnych awarii Morawiecki zawsze potrafił go błyskawicznie naprawić i archaiczny

wspierania kaczystów miał za uszami liczne brudy. M.in. aferę z tzw. głosowaniem na dwie ręce. Wówczas to posłanka Małgorzata Zwiercan (prywatnie wieloletnia przyjaciółka Morawieckiego) głosowała w sejmie, używając jego karty. Gdy sprawa wyszła na jaw, Morawiecki senior bredził, że nic się przecież nie stało, gdyż „pani poseł się pomyliła w tym sensie, że zrobiła to, co ja bym chciał, ja bym tak głosował”. Stary Morawiecki zamieszany był też w największy przekręt finansowy III RP, czyli aferę GetBacku (poszkodowanych zostało 10 tysięcy osób na kwotę prawie 2,5 mld zł). Gdy spółka była już na krawędzi bankructwa, ojciec premiera (który znał się z prezesem GetBacku) namawiał syna, aby państwowe banki i instytucje wpompowały pieniądze w brudny biznes. Oczywiście ten wążek został zamieciony pod dywan przez upolitycznioną prokuraturę.

Zwolennik Putina

Biografowie przemilczają też, że Kornel Morawiecki, który był zaciekle antykomunistą i przeciwnikiem sowieckiego imperializmu, stał się na stare lata miłośnikiem putinowskiej Rosji. Krytykował Ukrainę jako państwo upadłe. Mówił tak, będąc już wpływowym posłem marszałkiem seniosem sejmiku, po aneksji Krymu i wojnie w Donbasie.

Ojciec premiera wydawał dwutygodnik „Głos Obywatelski”, w którym często poruszano tematy Rosji. W 2016 r. wywodził, że w Ukrainie żadnej wojny z Rosją nie ma, jest najwyżej wojna domowa, Majdan to efekt knoń Zachodu, a odpowiedzialność za krwawą rozprawę z demonstrantami przez prorosyjskiego prezydenta Wiktora Janukowycza i utratę Krymu przez Ukrainę ponosi Zachód.

Według Morawieckiego Ukraina jest państwem bandyckim, na dodatek gloryfikującym banderowców: „Nie tylko jest wojna domowa, ale jest banda, bandytyzm. My takiej polityki nie możemy ślepo wspierać. Nie możemy też zgadzać się na gloryfikowanie morderców”.

O Putinie Morawiecki pisał, że to „demokratycznie wybrany prezydent”, a o rosyjskiej demokracji, że „niczym nie różni się od europejskich”. W rozmowie z „Super Expressem” wywodził: „Jestem za zbliżeniem relacji Polski z Rosją. Dlaczego nie ma spotkania polskich władz z prezydentem Rosji?! To jest konieczne. To jest nasz polski, ale i europejski interes. Powinniśmy dążyć do wielkiej Europy z Rosją”.

Na 3 dni przed śmiercią „w uznaniu znamienitych zasług na rzecz przemian demokratycznych w Polsce, za wybitne osiągnięcia w działalności publicznej i państwowej” prezydent Andrzej Duda odznaczył Morawieckiego Orderem Orła Białego. Pochowano go z honorami państwowymi w asyście wojskowej na Powązkach w Warszawie obok premiera Jana Olszewskiego, którego Morawiecki chciał obalić w kwietniu 1992 r., organizując uliczne demonstracje i twierdząc, że jego gabinet realizuje okrągłostołową politykę zdradzieckich rządów Mazowieckiego i Bieleckiego.

ANDRZEJ SIKORSKI
nie@redakcja.nie.com.pl

GADMAN

Leżał na pierwszym piętrze. Krew leciała mu z ust, nosa i uszu. Czerwona jak wspomniane przez niego owoce kaliny.

Pierwszej pomocy udzieliła mu Chajka Gamse, niemiecka Żydówka urodzona w Wilnie. W czasie II wojny wywieziona do obozu w Dachau, gdzie szczęśliwie przeżyła. Gdyby los rzucił ją wtedy do ojczyzny ratowanego teraz sąsiada, szanse na przeżycie miałyby mniejsze.

Zaniepokojona krzyczała wniebogłosy, bo pan Popiel, tłuszczoszek z trzeciego piętra, leżał nieprzytomny i krwawił.

Narodziny

Zanim Stefan Popiel w Monachium umarł, to najpierw urodził się w 1909 r. w Uhrynowie Starym w pobliżu Stanisławowa, obecnie Iwano-Frankiwska, w ówczesnej Galicji, części monarchii austro-węgierskiej. W wielodzietnej rodzinie proboszcza greckokatolickiego.

Jego ojciec Andrij był działaczem politycznym i niepodległościowym. W 1918 r. został posłem krótko istniejącej Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej oraz kapłanem ukraińskiej armii walczącej w Galicji z polskimi wojskami i grupami samoobrony. Walczącej wtedy nieskutecznie.

Do końca życia za wrogów uważał Łachów i Moskali, bo byli przeciwnikami niepodległego państwa ukraińskiego. I Żydów, bo byli ekonomicznymi przeciwnikami Ukraińców oraz sprzyjali politycznie Polakom.

za działalność polityczną w II Rzeczypospolitej był zsyłany na coraz gorsze, coraz biedniejsze parafie. W 1941 r. został rozstrzelany przez radziecki NKWD i prawdopodobnie pochowany w podkijowskiej Bykowie. Razem z innymi ofiarami NKWD, wśród nich z polskimi oficerami z listy katyńskiej.

NKWD wywiózł do syberyjskich łagrow 3 jego córki. Marta zmarła tam, Władimira wróciła na Ukrainę w 1956 r., a Oksana dopiero w 1989.

Jego syna Bogdana, walczącego w oddziale ukraińskich nacjonalistów, zabili zapewne radzieccy partyzanci w 1943 r. w okolicach Chersonia. Dwóch kolejnych synów, Aleksandra i Wasyla, aresztowało gestapo w 1942 r. i osadziło w KL Auschwitz. Tam wedle ukraińskich dziejopisarzy zostali zamordowani przez współwięźniów, „polskich szowinistów”. Za co rozstrzelali ich Niemcy, którzy nie tolerowali w obozie takich samowolek.

Ostatni z synów, Stefan, zanim zmarł w 1959 r. w Monachium, rozślał rodowe nazwisko.

Szklany sufit

W pamiętnym roku 1918, gdy rozpadła się monarchia austro-węgierska, gdy powstawały niepodległe państwa: węgierskie, austriackie, czechosłowackie, polskie, chorwackie

WIEŚCI Z KRUCHTY

✦ Papież Franciszek podczas audiencji ogólnej zwrócił się do Polaków i zachęcił ich do pamięci o św. Janie Pawle II. Ależ jest pamięć, jest. Mnóstwo memów z „rzutną mordą” w internecie.

✦ Barbara Nowak, małopolska kuratorka oświaty, pochwaliła się: „Naciskam na dyrektorów, by nie wyrzucali religii na pierwszą lub ostatnią lekcję”. „To będzie prześladowanie dzieci, które na religię nie chodzą” – mówią dyrektorzy krakowskich szkół. Anonimowo. Na pewno prześladowani będą bezpośrednio podlegający Nowak dyrektorzy. Bo według niej tak należy szerzyć chrześcijaństwo: ogniem, mieczem i szantażem.

✦ W ramach – zapewne – prześladowań katolików biskup legnicki Andrzej Siemienieński odwiedził szkołę w Porajowie. W imieniu szkolnej społeczności biskupa przywitani przedstawiciele klas ósmych z dyrektorką szkoły oraz burmistrzem Wojciechem Dobrołowiczem. Biskup spotkał się z nauczycielami i uczniami klas 1–3. Były śpiewy, recytacje i tańce. Po rozmowie z uczniami biskup wpisał się do księgi pamiątkowej i udzielił wszystkim błogosławieństwa. W Polsce odbywa się masowa bezprawna indoktrynacja religijna w świeckich placówkach oświatowych. Niby jesteśmy do tego przyzwyczajeni, ale potrzeba głośno krzyknąć: Nie, nie, nie! To skandal!

✦ Emerytowany biskup radomski i były biskup pomocniczy diecezji siedleckiej Henryk Tomasik został ukarany przez Watykan za ukrywanie pedofilii. Kara związana jest ze sprawą ks. Stanisława S. Byli wychowankowie oskarżyli go o molestowanie w czasach, gdy mieli od



rys. PATRYK SIROCIŃSKI

9 do 12 lat. Ofiarami byli ministrowi i harcerze. O przestępstwach miało dochodzić podczas biwaków, obozów, wycieczek oraz w pokoju na plebani. Sankcji jednak nie ogłoszono publicznie. Nie wiadomo także, na czym kara ma polegać. W myśl zasady – jak najciszej niech się to mleko rozlewa...

✦ „Nastąpiła degeneracja intelektualna i moralna tej uczelni” – mówi ks. Alfred Wierzbicki. I zapowiada odejście z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego: „Dreżono mnie i poniżano. Zaczęłam myśleć, że nie chcę mieć do czynienia z tym środowiskiem. Nie było to łatwe, bo ten uniwersytet mnie uformował, sam również coś wniosłem w jego rozwój”. Za co to? Za wypowiedź dla „Onetu”, w której Wierzbicki komentował stanowisko Konferencji Episkopatu Polski w sprawie LGBT. Ksiądz ocenił, że dokument wyglądał, jak gdyby był pisany na Księżycu, a nie w Polsce, w której dochodzi do wielu homofobicznych ataków, a tekst biskupów może do nich zachęcać.

– Stefan miał 9 lat. Za młody był, by walczyć o niepodległą Ukrainę, która jako jedyna z aspirujących do niepodległości państw rozpadłej monarchii wtedy nie powstała. Bo jej terytoria znowu zostały podzielone przez polską II Rzeczpospolitą i ówczesną Rosję Radziecką.

Warto przypomnieć, że decyzją zwycięskich w I wojnie światowej mocarstw podczas paryskiej konferencji pokojowej ówczesna Galicja Wschodnia, zwana też Zachodnią Ukrainą, czyli ojczyzna młodego Stefana, miała być jedynie tymczasowo administrowana przez Rzeczpospolitą Polską.

Ale po umocnieniu się ZSRR, w marcu 1923 r. Rada Ambasadorów, decydująca o powojennych granicach w Europie Środkowo-Wschodniej, zgodziła się na przyłączenie jej do odrodzonego państwa polskiego.

W II Rzeczpospolitej Ukraińcy byli obywatelami drugiej kategorii. Mieili mniej praw i mniejsze możliwości kariery zawodowej i awansu społecznego niż w niedawnej monarchii austro-węgierskiej.

Najlepsza wtedy, zwłaszcza po zamachu majowym Piłsudskiego, była kariera wojskowa. Dla Ukraińców była jednak zamknięta. Podobnie trudno było im robić kariery w administracjach państwowej i samorządowej. Na wsi Ukrainiec mógł zostać jedynie sołtysem, zwłaszcza tam, gdzie ukraińska ludność zdecydowanie przeważała. Bardziej prestiżowe stanowisko wójta było już dla niego nieosiągalne.

Podobno w całej historii II Rzeczpospolitej był tylko jeden wójt uchodzący za Ukraińca. Ale w rzeczywistości był Huculem.

W II Rzeczpospolitej nie było ukraińskiego uniwersytetu, a na polskich uniwersytetach nie było katedr z ukraińskim językiem.

Jedynym sposobem na szybką karierę było dla zdolnych, ambitnych Ukraińców wyrzeczenie się swej ukraińkości i demonstracyjna zmiana wyznania na katolickie. Ucisk narodowy był w II Rzeczpospolitej wobec Ukraińców większy niż wobec Polaków w zaborze rosyjskim czy pruskim.

Jak Ziuk

Dla Ukraińców pragnących wytrwać przy swej narodowości i wyznaniu pozostawały dwie drogi. Praca organiczna, czyli tworzenie ukraińskich spółdzielni, zwłaszcza w branży spożywczej. Ale była to droga żmudna, pełna wyrzeczeń. Ukraińskie firmy konkurowały z prężnymi żydowskimi i polskimi, posiadającymi wsparcie administracji państwowej. Wszystkie dotknął wielki kryzys gospodarczy z lat 1929–1936.

✦ Czy w kaplicy Domu Rekolekcyjno-Wypoczynkowego „Dobry Zakątek” w Konstancinie-Jeziornie wydarzył się cud? Taką nadzieję ma ksiądz dyrektor ośrodka. Chodzi o czerwoną plamkę w kształcie krzyża, która pojawiła się w naczyniu z rozpuszczoną hostią. Dopowiadamy, że w Konstancinie mieszkał niedawno pochowany założyciel, właściciel i redaktor naczelny tygodnika „NIE” Jerzy Urban.

✦ Ks. Roman Kneblewski z Bydgoszczy, nieformalny kapelan narodowców, który za kłapanie dziobem w internecie został odesłany na emeryturę, nie przestaje nadawać. Tym razem omówił damskie stroje. Pochwalił te z 1950 r. (sukienki), zgał obecne (dżinsy). Dobrze, że klecha zwraca uwagę na kobitki, a nie na dzieciarnię.

✦ Najważniejszym wydarzeniem ostatnich tygodni w masowym odbiorze były informacje o romansie Katarzyny Cichopek i Macieja Kurzajewskiego (nie pytajcie, kto to, bo to nieistotne; jacyś celebryci) oraz

Syn Piłsudskiego i Chruszczowa



Rys. PATRYK SROZYNSKI

Nic dziwnego, że wielu zdolnych, ambitnych młodych Ukraińców wybierało drugą drogę: radykalizowało się. Uważali, że ich ojcowie byli w 1918 r. miększonami, zbyt łatwo odpuścili walkę o niepodległe państwo ukraińskie.

Wzorowali się na Polakach, na Organizacji Bojowej Polskiej Partii Socjalistycznej i Józefie Piłsudskim.

Uważali, że trzeba skopiować taktykę terroru indywidualnego bojowców PPS. Jak choćby napad na pociąg pocztowy przewożący pieniądze pod Bezanami czy zamachy na carskich dygnitarzy w czasach rewolucji 1905 r.

Uważali się za ofiary wprowadzonego przez mocarstwa zachodnie porządku wersalskiego. Szukali sojuszników wśród państw kwestionujących ten porządek oraz wrogich II Rzeczpospolitej. Stąd taktyczna współpraca z Niemcami. Choć hitlerowskie Niemcy traktowały ukraińskich nacjonalistów bardzo instrumentalnie...

Młody Stefan wstąpił w 1927 r. do zbrojnej konspiracji ukraińskiej, założonej przez Jewhena Konowalca. W 1929 r. grupa przekształciła się w Organizację Ukraińskich Nacjonalistów (OUN).

Taktycznie wzorowali się na Piłsudskim, a ideowo na popularnych wówczas w Europie Środkowo-Wschodniej radykalnych faszystowskich ruchach: chorwackich ustaszach, słowackich glinowcach, rumuńskiej Żelaznej Gwardii, polskim ONR i irlandzkim Sin Féin. Swą Ukrainę uważali za „**Irlandię Europy Wschodniej**”.

Wszystkim tym organizacjom imponował wówczas włoski faszyzm. Podziwiali włoskie projekty industrialne. Architektury, autostrady, samochody, okręty i samoloty. Nowoczesne i estetycznie zaprojektowane.

Aby podgrzać konflikt polsko-ukraiński, bojowcy z OUN dokonywali zamachów na ukraińskich zwolenników

pracy organicznej oraz zwolenników politycznej współpracy obydwóch narodów: Ukraińców i Polaków.

Jak wszyscy terroryści, bardzo liczyli na media.

Rozgłos uzyskali po skutecznym zamachu w 1931 r. w Truskawcu na zwolennika polsko-ukraińskiego pojednania posła Tadeusza Hołówkę. Wieczną sławę przyniósł im zamach na ministra spraw wewnętrznych Bronisława Pirackiego w 1934 r.

Drugie narodziny

Stefan Bandera w zamachu nie uczestniczył. Wziął za to udział w dwóch rozprawach sądowych w Warszawie w latach 1935–1936 i we Lwowie w 1936 r. Znakomicie wykorzystał je do propagowania idei OUN. Zasłynął z tego, że na zadawane w sądzie pytania odpowiadał nie po polsku, czyli w języku urzędowym, który znał, lecz po ukraińsku, co było zabronione przez ówczesne prawo.

Prezentował się jako działacz niepodległościowy, wróg „**zdrajców narodu ukraińskiego**”. Swe wystąpienia często zaczynał lub kończył zawołaniem: „**Sława Ukrainie**”.

Nic dziwnego, że został okrzyknięty przywódcą OUN, a potem idolem patriotycznej ukraińskiej młodzieży.

Został skazany na karę śmierci, zamienioną później na dożywocie. Według legendy wstawić się mieli za młodym bojowcem starzy piłsudczy, którzy ujrzeli w nim echo własnej młodości.

Nie ma na to twardych dowodów. Zapewne zdecydowała polityczna kalkulacja. Sprawców zabójstwa posła Hołówkę skazano na śmierć. I to oni stali się pierwszymi męczennikami OUN.

Pierwsza śmierć

Gdy Stefan Bandera siedział w polskich więzieniach, jego mentor Jewhen Konowalec został zamor-

dowany przez radzieckiego agenta NKWD. Poczestowano go bombonierką: pudełkiem czekoladek z ukrytą bombą.

W tym czasie aktywiści OUN nie próżnowali. Nocami demolowali szkoły, próbowali wysadzać tory kolejowe, zastraszaali przedstawicieli polskiej administracji. W odwecie polskie wojsko i policja otaczały wsie podejrzane o sprzyjanie OUN. Przeprowadzały rewizje, niszcząc meble i żywność. Polscy ułani zasłynęli wtedy z humoru i rubaszości. Z żurawikami na ustach bili schwytych „**karabinowym wyciorem na gołą dupę**”. W rytm „Hej, dziewczyny, w górę kiecki” wieszali Ukrainki za nogi głową w dół. Nazwano to „**robieniem tulipana**”. Śmiechu było wiele, bo wieszane nie nosiły majtek.

W roku 1938 represjonowano ponad 450 ukraińskich wsi.

W 1939 r. Niemcy i ZSRR napadły na II Rzeczpospolitą. Hitler i Stalin przynieśli wolność Stefanowi Banderze.

Cios nadszedł od swoich. W OUN nastąpił rozłam. Po przywództwo sięgnął Andrij Melnyk. Bandera nie uznał tego i od 1940 roku istniały 2 OUN-y: Bandery i Melnyka.

W czerwcu 1941 r. Niemcy napadły na ZSRR. Polska już nie istniała, miał upaść drugi wróg niepodległej Ukrainy.

W końcu czerwca do Lwowa wkroczył kolaboracyjny ukraiński batalion „Nachtigall”, a w ślad za nim ukraińscy niepodległościowcy. 30 czerwca 1941 r. proklamowali niepodległe państwo ukraińskie i powołali rząd Jarosława Stecki.

Gdy Adolf Hitler dowiedział się o działalności banderowców, dostał podobno ataku szału. Wezwał Heinricha Himmlera, opieprzył go i rozkazał, aby „**zrobił porządek z tą bandą**”.

Hitler urodził się w monarchii austro-węgierskiej podobnie jak Bander-

ra, ale uważał Ukraińców za podludzi potrzebnych Niemcom do zapewnienia stałych dostaw żywności.

Jego współpracownicy godzili się na batalion „Nachtigall”, na udział ukraińskiej policji pomocniczej w masowym mordowaniu Żydów, ale nie na niepodległe ukraińskie państwo. Gestapo aresztowało kilkuset działaczy OUN. Trafili do więzień i obozów koncentracyjnych.

Tak Hitler uratował ZSRR i okupowaną Polskę przed niepodległą Ukrainą.

Bandere osadzono w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen. Siedział tam w dobrych warunkach. Był tam też w czasie rzezi wołyńskiej. Dlatego za bezpośrednich inicjatorów czystek etnicznych dokonanych w 1943 r. na Polakach uważa się szefa wołyńskiego OUN Dymitra Klaczkiwskiego, pseudonim „Kłym Sawur”, i Romana Szuchewycza. Obaj zginęli w walkach z armią radziecką.

Z obozu wyszedł Bandera zdrowy. Nigdy nie potępił ani nie krytykował mordów na Polakach.

Trzecie narodziny

Zamieszkał z rodziną w Monachium. W 1953 r. kupił dom. Założył wydawnictwo, żył pod nazwiskiem Popiel.

W roku 1959 lider rachitycznego OUN był w emigracyjnej czarnej dupie. Ukrywał się przed radzieckimi agentami. Bał się konkurencyjnych melnykowców. Nie był pewien lojalności wywiadów USA, Wielkiej Brytanii i Niemiec, które rozpaczliwie namawiał do współpracy. Był dla nich kłopotliwym partnerem. Nie chciał się przepoczwarzyć w demokrate, a na takich było zapotrzebowanie, miał śmierzzące faszystowskie korzenie. Do tego oskarżano go o pomoc w mordowaniu Żydów.

Był schorowany. Cierpiał na reumatyzm, choroby serca, nosa, bo w polskim więzieniu karmiono go przymusowo przez nos, gdy urządzał głodówki. Musiał przestrzegać diety, brał liczne leki. Chodził na piesze wycieczki, żeby walczyć z otępieniem. Groziły mu polityczny niebyt i gorzki emigrancki chleb.

Pomocną dłoń wyciągnął do niego Bohdan Staszyński. Jego rodak, agent KGB. Staszyński chciał się podliznąć ówczesnemu władcy ZSRR Nikicie Chruszczowowi, też zresztą Ukraińcowi. I za pomocą specjalnie skonstruowanego szklanego pistoletu poraził schorowanego Bandere cyjankiem. Wcześniej wypróbował go na innym ukraińskim emigrancie – Lwie Rebecie.

Zbrodnia była prawie doskonała. Policja nigdy nie wpadłaby na trop sprawcy. Ale Staszyński pokłócił się z pracodawcami z KGB, bo zakochał się w Niemce z NRD i nie dostał zgody na związek. Poszedł do CIA i wszystko wypaplał. Kolejny sentymentalny Ukrainiec...

Za 2 morderstwa dostał 8 lat. 4 lata odsiedział, potem CIA zapewniła mu prawo do miłości.

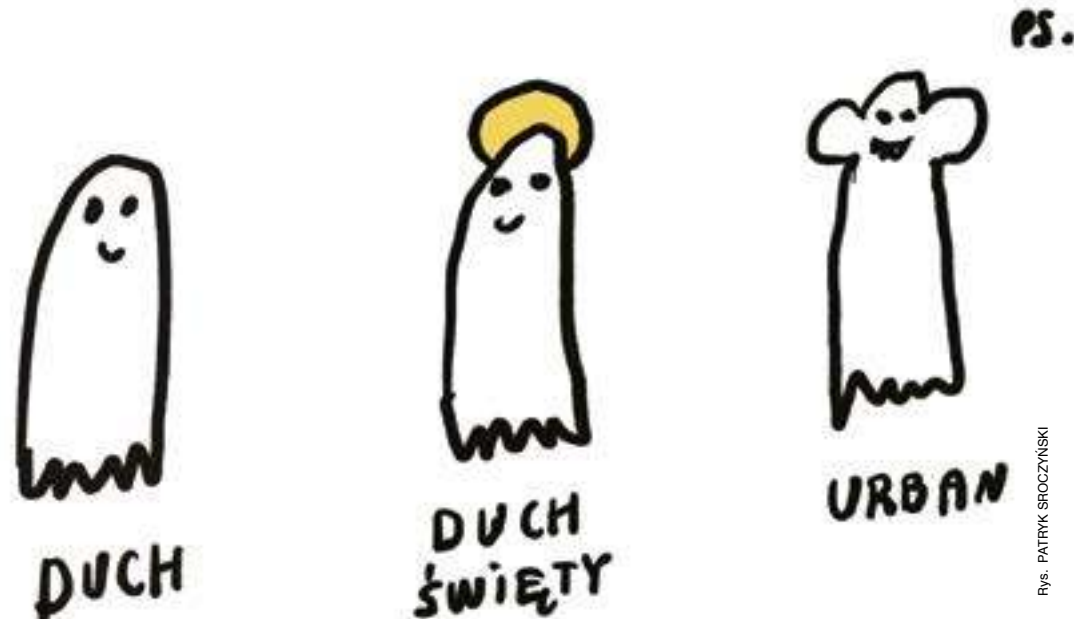
Stefan Bandera po tej śmierci naprawdę ożył. Został filarem mitu założycielskiego wolnej Ukrainy. Na licznych pomnikach wygląda zdrowo i przystojnie.

PIOTR GADZINOWSKI

ich zdjęcia z wycieczki do Izraela. Nawet Kościół się tym zainteresował. Ks. Janusz Koplewski, zwany potocznie spowiednikiem gwiazd: „Ja bym się tak nie chwalił wiarą, po tym gdy rozbito się sakramentalny związek, bo tu wiary zabrakło. Nie ma tu czego naśladować. I on rozbił małżeństwo, i ona”. Ale przecież pójdą do spowiedzi i będzie wszystko gites, ksiądz im odpuści, a Bóg wybaczy. Jak to u katolików.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.



Rys. PATRYK SROZYNSKI

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ **Chowają Urbana.** Niestety, na Powązkach. Piszę „niestety”, bo to miejsce nobilituje. (...) Rzecz będzie się działa na tych samych Powązkach, gdzie swój grób wciąż mają Bierut i Jaruzelski, ale też mjr Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka”, harcerze z batalionu „Zośka” czy Kornel Morawiecki. Tak, to wciąż ta sama Polska i jej losy przedziwne pokręcone. Ta bliskość jest pod pewnym względem dobra. Bo pozwala jasno wyttyczyć **granice hańby i honoru** – wartości, które czasem próbuje się pomieszać. Nie wolno nam na to pozwolić.

Marcin Wikło, wPolityce.pl, 11 października

■ Były prezydent **Aleksander Kwaśniewski, Adam Michnik czy Marian Turski.** Tacy mniej więcej goście, jak i bohater. Inaczej się tego ująć nie da. Gdyby Kancelaria Rzeszy przetrwała zdobycie Berlina przez Armię Czerwoną, to po latach pewnie także towarzyszył Ribbentrop z towarzyszem Adolfem i Heinrichem Himmlerem, i paroma innymi wyznawcami i akolitami przysliby na **grób Goebbelsa**. Rola Urbana w Polsce przez ostatnie kilkadziesiąt lat jest jak najgorsza.

dr Piotr Gontarczyk, wPolityce.pl, 11 października

■ To **duch Urbana** unosi się nad bojówkami „Strajku Kobiet”, które atakowały kościoły w polskich miastach, a jego sympatycy napadali na księży, by niedawno wycinać przydrożne krzyże. To Urban formował swoich uczniów i media, które z sukcesem walczą teraz z konserwatystami. Jerzy Urban to także **nauczyciel politycznych elit** dzisiejszej opozycji.

Wojciech Biedroń, wPolityce.pl, 11 października

■ Słyszałem opinię, że o zmarłych mówi się dobrze albo wcale, ale to w rodzinie, w społeczeństwie, od pewnego poziomu kultury, więc to Urbana nie dotyczy. To **jedna z najczarniejszych postaci** w najnowszej historii Rzeczypospolitej.

dalej Gontarczyk

■ W dniu pogrzebu Jerzego Urbana bacznie przypatrujemy się **jego uczniom**. Ich metody działania są niezmiennie od lat. Dziś, gdy waży się losy Polski jako kraju suwerennego, taka obserwacja jest niezbędna. Dla nas wszystkich. Duch Jerzego Urbana nie spoczął w ziemi. On z nami pozostanie.

dalej Biedroń

■ **Dawni agenci Czesława Kiszcza** i ich dzieci są dalej intensywnie obecni w życiu współczesnej Polski i oddziałują na nie poprzez odpowiednio umocowane wpływy medialne, społeczne i polityczne.

Witold Gadowski, Niezależna.pl, 11 października

■ Fakt, że w latach **III Rzeczypospolitej** ktoś taki mógł w ogóle funkcjonować w przestrzeni publicznej, to jest przykład tej samej **patologii** jak to, że mógł tam funkcjonować trochę podobny, jeśli o cynizm i karierowiczostwo chodzi, towarzysz sekretarz Aleksander Kwaśniewski. To były takie elity PRL-owskie – zwyczajnie miernoty. Urban z pewnością wyróżnia się wśród tych ludzi stopniem cynizmu i to, co robił dla III RP z tym swoim tygodnikiem, to jest po prostu stukanie w dno od spodu.

Gontarczyk

■ Pofatygowałem się na pogrzeb Jerzego Urbana. (...) Nie mam wątpliwości, że będziemy dalej obserwować pompatowanie go jako **autorytetu**. Aleksander Kwaśniewski nawet zasugerował, że konieczny jest o nim film na Netfliksie. Oczywiście elementem tej gry jest sam pochówek na Powązkach. Wszystko to z lekka obrzydliwe, ale cóż, mainstream już taki jest, że nawet z **psa** gotów zrobić gwiazdę filmową.

Jacek Liziniewicz, Niezależna.pl, 12 października

■ Czas w końcu **zdekomunizować Cmentarz Wojskowy** na Powązkach. Niech Urban, Bierut, Jaruzelski i reszta spoczywają na specjalnie wydzielonym Cmentarzu Zbrodniarzy Komunistycznych. Nie powinno być dla nich miejsca obok Polskich Bohaterów.

Robert Bąkiewicz, Twitter, 11 października

■ **Śmierć złego człowieka**, a takim niewątpliwie był Jerzy Urban, to sytuacja, w której często pierwszą reakcją większości ludzi jest radość. Z jednej strony dlatego, że destrukcyjny wpływ takiej osoby się w jakiś sposób kończy, że ten ktoś już nikogo nie skrzywdzi. Z drugiej strony natomiast radość może być spowodowana oczekiwaniem na sprawiedliwość, która tu na ziemi często nie sięga takich ludzi, a którą w najdoskonalszy sposób **wymierza tylko Bóg**. (...) Jednak nawet gdyby ostatnim tchnieniem Jerzy Urban otworzył się na bożą łaskę i uchronił przed wiecznym potępieniem, to należy tylko się cieszyć.

Wojciech Grzywacz, Radio Maryja, 9 października

Wybrał **WALDEMAR KUCHANNY**
wkuchanny@redakcja.nie.com.pl

Boska tragedia

Śmietana lizana z kolana kapłana i inne sakramenty salezjanów.

Księża lubią dzieci – Watykanu tym stwierdzeniem nie odkrywam. Ale księża salezjanie lubią je zawodowo. Tzw. charyzmatem, czyli specjalną misją członków Towarzystwa św. Franciszka Salezego, zwanych salezjanami, jest praca z dziećmi i młodzieżą. Charyzmat ten jest kontynuacją misji założyciela tej wspólnoty zakonnej, ks. Jana Bosko, znanego też jako Don Bosco. Salezjanie są jednak bardziej wszechstronni, niż ich święty twórca zakładał.

1.

Jest sobie biskup Carlos Filipe Ximenes Belo – salezjanin właśnie. Zasłużony. Za walkę o pokój w Timorze Wschodnim w 1996 r. dostał Pokojową Nagrodę Nobla. Okazuje się, że oprócz pokoju na świecie biskupa interesowało zamykanie się w pokoju z chłopcami. Bepe Ximenes Belo swój salezjański charyzmat wykorzystywał nadgorliwie, dyplomatyczne zabiegi odreagowując w zabawach, o których nie śniło się ks. Bosko. Sprawę opisał we wrześniu holenderski tygodnik „De Groene Amsterdammer”. Mimo wielkich zasług i wysokiej pozycji zarówno w Kościele, jak i w państwie Ximenes Belo w 2004 r. jako 54-latek, a zatem w sile wieku, wyjechał na misję do Mozambiku. Zasłaniał się enigmatycznie problemami zdrowotnymi. Po wyjeździe oddał się swojej największej pasji, czyli katechizacji dzieci. Ale i z Afryki eksmitowano tego człowieka wielu talentów i teraz podobno błąka się po Portugalii, której kolonią do 1975 r. był Timor Wschodni.

Watykan przez 15 lat nie widział nic podejrzanego w powichrowanej ścieżce kariery biskupa. Papież dopiero teraz zareagował na ekscesy podopiecznego: po rocznym śledztwie nakazano mu życie w izolacji, co jest dla niego karą dotkliwą, bo był przecież taki towarzyski... W Polsce mógłby otrzymać Order Uśmiechu jako uzupełnienie Nobla.

2.

Prekft Dykasterii Nauki Wiary, czyli najważniejszego watykańskiego urzędu zajmującego się doktryną, udzielił ostatnio wywiadu „Gościowi Niedzielnemu”. Kardynał Luis Ladaria Ferrer, jezuita jak Franciszek, stwierdził z nieoczekiwaną szczerością, że „**istnieje związek między wiarą i skandalami**”. Chodziło mu o to, że „**ujawnione skandale uderzają w rdzeń wiary, gdyż nadużycia zostały popełnione przez tych, którzy powinni być pierwszymi jej świadkami**”. Księża jednak ciągle próbują udowodnić, że ten związek jest znacznie ściślejszy, ale inny, niż się purpuratowi wydaje. Ximenes Belo kłania się.

Żeby nie było – my także mamy salezjanów poważnie traktujących swoje powołanie. W sierpniu aresztowany został ks. Grzegorz O., dyrektor Salezjańskiej Szkoły Podstawowej w Lubinie, który tak umiłował dziateczki, że ich zdjęcia trzymał w komputerze. Polskie prawo jednak zabrania posiadania zdjęć dzieci, jak je Pan Bóg stworzył, i ks. Grzegorz usłyszał zarzut posiadania treści pornograficznych z udziałem małoletnich. Rzecznik prasowy wrocławskiej inspektorii (jednostka administracji zakonnej) św. Jana Bosko wydał oświadczenie, w którym w imieniu swoim i kolegów wyraził „**ubolewanie i głębokie z troskowanie**” sytuacją, ale też zaskoczenie, bo „**nikt wcześniej nie wysuwał żadnych oskarżeń wobec osoby tego kapłana**”. Jak powszechnie wiadomo, rzecznicy nigdy nie kłamią.

Salezjanin jest też bohaterem jednej z najdziwniejszych i absurdalnych kościelnych aferek klerykalnych ostatnich lat, która weszła do kanonu klasyki i stała się memem. To „**duchowemu synowi ks. Bosko**” dzieciaki zlizywały z kolana białą maź, która miała być bitą śmietaną lub pianką do golenia – krąży różne wersje. A działo się to wszystko w tym samym Lubinie, gdzie dyktował wspomniany Grzegorz O., ale wówczas chodziło o innego księdza dyrektora. Sam obrzęd miał charakter rytywalnego rytuału: takie otrząsiny urządzone pierwszoklasistom. W sprawie zabrał głos Zbigniew Lew-Starowicz, który stwierdził, że „**nie ma podstaw do uznania, iż zachowanie dyrektora miało charakter popędu**”, a duchownego bronili rodzice i uczniowie – uczestnicy ceremonii. Nieco mniej tolerancji miało kuratorium, które stwierdziło, że takie zabawy uchybiają godności dzieciaków.

Ale to były kuratoria jeszcze sprzed pislamiacji, gdy nie snuły się po nich takie kreatury jak choćby krakowski kurator, która zablysnęła ostatnio stwierdzeniem, że „**ratunkiem dla Polski jest modlitwa różańcowa**”. Jeżeli klepanie

DZISIEJSZA OFIARA PRZÉZNACZONA ZOSTANIE NA KSIĘŻY, OFIARY PEDOFILII



Rys. TOMASZ WIATRE

zdrowasiek miałoby uratować kraj przed PiS-em, to jestem skłonny do negocjacji. Jak twierdzą eksperci, reformy Czarnka zmierzają do stworzenia szkoły chrześcijańskiej. A to może oznaczać lizanie księdzu nie tylko kolana, ale i butów, żeby pozostać tylko poniżej ud...

3.

O wyjątkowo zgodnej współpracy z młodzieżą może też świadczyć fakt, że były już ksiądz Tomasz Kijowski ze zgromadzenia salezjanów został rzecznikiem Komitetu Organizacyjnego Światowych Dni Młodzieży, które odbyły się w 2016 r. w Krakowie. Złotousty kapłan rzecznikował sobie w najlepsze aż do czasu, gdy gruchnęła wieść, że zrobił jakieś pannie bachora. W atmosferze skandalu obyczajowego został zdjęty ze stanowiska. Odejściu towarzyszyły plotki, że

brzemienna za sprawą salezjańskiego członka jest jedną z wolontariuszek pracujących przy tej wielkiej kościelnej imprezie z udziałem papieża,

a wieść o zaciążeniu uczczono uroczystą kolacją. Rewelacjom tym stanowczo zaprzeczył rzecznik krakowskich salezjanów, a opinia publiczna wierzy tylko w informacje zdementowane. Kijowskiego wyrzucono z zakonu i odebrano mu prawo do wykonywania zawodu księdza. Niewątpliwie lepiej pracować niż ruchać dzieci, ale to świeckie rozróżnienie nie ma bezpośredniego przełożenia na kary kościelne.

4.

Salezjanie jak na zakonników ślubujących czystość i ubóstwo odznaczają się sporą chucią

i posiadaniem znacznej gotówki. Prominentnym członkiem Towarzystwa ks. Franciszka Salezego jest ks. Henryk Łącki, były proboszcz parafii Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Dębnie. Dlatego tylko były, że dał się przyłapać na legalnych wprawdzie, ale moralnie wątpliwych z religijnego punktu widzenia transakcjach. Ks. Łącki kupował mianowicie luksusowe apartamenty w nadmorskich miejscowościach – i to za gotówkę. Łącznie wydał na to ponad 2 mln zł w gotówiznie, czym zgorzyszył wieczki. Gdy parafianie zaczęli węszyć przy majątku duchownego, ten – polskim i katolickim zwyczajem – przepisał swoje włości na kobietę. W tym przypadku na siostrę, bo – choć zamożny – żony nie miał, a obca kobieta może przecież jakiś numer wykreślić.

Chaty ks. Łąckiego to drobne w porównaniu z tym, co odejebali jego współbracia w tzw. aferze salezjańskiej. W rolach głównych znowu salezjanie z Lubina. W latach 1999–2003 księża przy współudziale biznesmenów i dyrektora banku wyłudziili ponad 400 mln zł. Grupa iście biblijna: dwunastu przestępców jak dwunastu apostołów. Salezjanie ze współnikami zaciągali kredyty na „słupy”. Przecież ksiądz nie mógłby oszukać, parafianie więc podpisywali wszystko, co podsuwał im dobrodziej. Ale jednak oszukał... Pieniądzy nie zobaczyli, długi zostały. Główna postać afery, ks. Ryszard M., został skazany na 8 lat więzienia. Po wyjściu został kapłanem w diecezji łowickiej.

5.

Salezjaninem jest też choćby popularny ostatnio ks. Dominik Chmielewski, który opowiada o egzorcyzmach kota (gościł na naszych łamach), czy Michał Woźnicki, wydany już z zakonu przywódca grupki wiernych żądających powrotu do mszy w rycie trydenckim (przedsoborowej), o którym również pisałem. Były kolega Woźnickiego, Jacek Bałemba, także salezjanin i wielbiciel mszy po łacinie, przyjął ponoć niedawno powtórne święcenia od bepe Richarda Williamsona – ekskomunikowanego biskupa, antysemitę negującego Holocaust. Janusz Korczak byłby dumny, że ma wśród opiekunów dzieci takich następców.

Skoro takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie, to chowajmy młodzież. Przed salezjanami.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Lubię wiedzieć, co słychać u polskich uciemiężonych katolików, dlatego bacznie obserwuję ich media. W niedzielny wieczór moje zgnile ateistyczne serce zabiło mocniej, gdy zobaczyłam, że pojawił się nowy odcinek programu „Miejsce spotkania” katolickiej publicystki Weroniki Kostrzewy, a na widok tematu podjętego w materiale dostałam orgazmu w zwolnionym tempie. „Szydera z papieża J.P.2. Kto zawinił i co dalej?” – głosił tytuł. Zrobiłam popcorn i odpaliłam film. Kurwa, było warto!

Cenzopapa

„Papieżowa wybiła! Papieżowa godzina oczywiście, 21.37, najbardziej rozpoznawalna i zarazem najbardziej wyszydzana godzina w Polsce. Kiedy papieżowa wybijają np. na imprezie, ten, kto pierwszy ją zauważy, wygrywa. Później odpalamy »Barke« z YouTube’a albo prześmiewcze piosenki” – zaczyna Kostrzewa, a mnie już wesoło, bo pamiętam, jak drugiego kwietnia wraz z kumplem siedzącym po drugiej stronie kabla od internetu czekaliśmy, żeby wspólnie uczcić papieżową. Niestety kolega złotą godzinę przegapił, bo poszedł rozdzielić klóścące się dzieci. Przekłete bachory!

„Mamy »cenzopapę« – twarz Jana Pawła II wklejaną do filmików porno, mamy morze memów przypisujących mu gwałty, ludobójstwo czy kradzieże. Oto polski internet, a w nim papież Polak. Młodzież go zna, dla większości z nich jest człowiekiem-memem, z którego mają niezłą bekę” – peroruje pani redaktor, a ja przeczesuję sieć w poszukiwaniu memów i wysyłam koledze jeden przedstawiający uderzaną łyżeczką głowę papieża w kieliszku do jaja. Daleko nam już do bycia młodzieżą, ale również mamy przednią bekę.

„Jak wygląda ten przemysł pogardy i czy da się coś z nim zrobić? Jak opowiedzieć prawdę o papieżu Polaku? Jak zachwycić jego nauczaniem tych, którzy dziś sami tworzą prześmiewcze grafiki?” – zastanawia się Kostrzewa, a do wspólnego zastanawiania zaprasza ekspertki grubego kalibru, czyli takie do spraw social mediów i kreowania wizerunku: prof. dr hab. Monikę Przybyśz i Paulinę Woroźbit z Fundacji „Dzieło Nowego Tysiąclecia”. Dalej było już tylko śmieszniej.

Rzułta morda

Prof. dr hab. Monika Przybyśz niespodziewanie dojeżdżała do pieca papieskim fanatykom, wyrzucając, że obsywanie (tak brzydko nie powiedziała, to mój skrót myślowy) kraju ohydnyymi pomnikami, malowidłami i pozostałymi artefaktami zrobiło z Wojtyły karykaturę jeszcze za jego życia, a po zgonie była już tylko równia pochyła. I trudno się z tym nie zgodzić, niezamierzony karykaturalizm papy wyewoluował w papieża mema. W sieci ta karykatura ma swoją nazwę, „rzułta morda”, celowo z błędem. O tym pewnie ani Przybyśz, ani Kostrzewa nie wiedzą.

Wizja pozornej – jak się okazało – nietykalności runęła jak domek z kart.

Red. Kostrzewa przypominała również, jakie oburzenie przed laty wywołały T-shirty z hasłem „Nie płakałem po papieżu”. Cóż, wobec wizerunku „rzułtej mordy” wklejonej w gestapowski mundur czy papieża hajlującego z hasłem „Rozstrzelać wszystkich Polaków” taki



Odpapieżanie

Dał nam przykład Jerzy Urban, jak odprężyć się mamy.

T-shirt to nawet nie soft porno, lecz ledwie niewinne macanki przedszkolaków.

Zrobiło się nostalgicznie, gdy prowadząca wspomniała, jak piękne to były czasy, gdy papież był szkalowany jedynie przez Jerzego Urbana i tygodnik „NIE” (chodzi o słynny felieton Urbana „Obwoźne sadomaso” z sierpnia 2002 r., zamieszczony w „NIE” tuż przed pielgrzymką papieża do Polski. Urban napisał m.in.: „Kochany staruszkule! Połóż się do łóżka. Przykryj kołderką. (...) Wyrzuć te starcze środki dopingowe, którymi Cię szpikują jak byczków hodowanych na olimpiadę, żebyś mógł przez godzinę ruszać nogą i mniej trząść ręką. (...) Choruj z godnością, gasnący starcze, albo kończ waść, wstydu oszczędź”. Urban nazwał papieża m.in. „Bieżniewem Watykanu”, „żywym trupem” i „sędziwym bożkiem”). To się nie wróci...

Całun nietykalności został zerwany, a kontrkult Jana Pawła II trwa w najlepsze.

Rebranding

„Czy da się odbudować dobrą markę Jana Pawła II w internecie? Da się to zrobić. Ale trzeba też zainwestować w ekspertów, twórców katolickich, którzy dziś wykorzystują nowoczesne narzędzia, jak np. Tomek Samołyk czy ksiądz z osiedla, który wykorzystuje dia-

log, rozmowę z młodzieżą i nie boi się też tematów trudnych. Pierwsze, co bym zrobiła, to zapytała młodych: dlaczego wy się śmiejecie? Co was tak konkretnie bawi?” – mówi Paulina Woroźbit, specjalistka od budowania osobistej marki w sieci.

Z czego śmieje się kolejne pokolenie? Z hipokryzji. Wielkość antykultu papieża jest wprost proporcjonalna do papieskiej popularności, która od początku ocierała się niemal o świętość, a która została najzwyczajniej w świecie skomercjalizowana.

Wojtyła filozof stał się produktem marketingowym, a był (i dalej jest) to marketing agresywny.

„Nowe pokolenie, które tworzy te prześmiewcze memy, nie zna Jana Pawła II, oni nie spotkali go za życia. Nie znają jego nauczania, nie mieli żadnego kontaktu emocjonalnego, pozytywnego z papieżem. (...) Dla nich jest to po prostu symbol mem” – dodaje w rozmowie Monika Przybyśz.

Odprężania

Młode pokolenie w dupie ma nauczanie Jana Pawła II. Szczęśliwie doczekaliśmy czasów, w których o numerach wywianych przez papę mówi się tak głośno, że nawet dzieciarnia z głutem do pasa usłyszy. Uszczęśliwianie na siłę

papieskim mitem przyniesie odwrotny do zamierzonego skutek. I dobrze. Pozostaje się tylko cieszyć, że młodzież jest tak wyczulona na fasadowość.

Szczęśliwie powoli kruszeje kult Wojtyły także w starszych pokoleniach, karmionych przez dziesięciolecia świętojeblnością papieża. „Odpapieżam się” – usłyszałam niedawno tekst koleżanki, której nastoletni syn wyjaśnił, o co w zabawie z memami chodzi.

„Trzeba przestać robić »katolipę«, bo my robiliśmy ją przez bardzo długi czas” – mówi Paulina Woroźbit. Za późno...

Komizm internetowego wizerunku papieża nie tylko nie umiera, ale od trzynastu lat ewoluje.

Obecna w formach obrazowych „rzułta morda” oraz desygnaty skrótowce JP2GMD (Jan Paweł Drugi Gwałcił Małe Dzieci) czy 2137 (godzina śmierci) wychodzą już poza internet. Z „papieżowej” nabijają się prezenterzy radiowi, na barowych potykaczach widnieją informacje, że podawszy to hasło, można dostać zniżkę na kawę. Osiedlowe sklepy sieciowe dla jaj ustawiają porę zamknięcia na 21.37.

Wojtyła odarty z pozornej świętości został „Bestią z Wadowic” i żadne ruchy marketingowe już tego nie zmieniają.

IDALIA DUBICKA

WIARA CZYNI CZUBA

1. Jak co roku brytyjscy katolicy zgromadzili się w kościele w Ashton-in-Makerfield pod Manchesterem, żeby oddać hołd dłoni św. Edmunda Arrowsmitha, który zmarł męczenną śmiercią za wiarę katolicką na złość anglikańskiej. Św. Edmund został powieszony, ale nie do końca – zanim wyzionął ducha, został odcięty, po czym był wleczony ulicami do miejsca ostatecznej egzekucji, gdzie został wybebeszony i okaleczony na mnóstwo sposobów. Następnie jego zwłoki zostały rozczłonkowane, a ich część – wspomnianą rękę – z narażeniem życia uratowali i zachowali inni papieści. Do aresztowania św. Edmunda, pracującego jako ksiądz katolicki w konspiracji, doszło po tym, jak zadenuncjowała go para wiernych, których opierdolił za cudzołóstwo. Cóż za podnosząca na duchu opowieść...

2. Mario Murillo to teleewangelista, który uważa, że zaszczepienie Wielkiego Ptaka z „Ulicy Sezamkowej” na COVID to „jedna z najbardziej demonicznych rzeczy, jakie widział”. Jego kolega Lance Wallnau sądzi, że kadry w amerykańskich korporacjach są zinfiltrowane przez „ruch homoseksualny”, aby zatrudniać

pedałów. Murillo i Wallnau odbywają wspólne tournée po USA zatytułowane „Ogień i chwała”. Mieli w planach miasto Estero na Florydzie, ostatnio zrównane z ziemią przez huragan. „Nic nie odwołujemy” – ogłosili i dodali, że Bóg miał „perfekcyjny timing”, wywołując huragan akurat przed ich przybyciem. Bo to, co „będzie się działo w ludzkich sercach”, uczyni je szczególnie podatnymi na ewangelie nienawiści. Ostatnio jednak okazało się, że muszą odwołać miting, bo stadion jest zajęty przez Czerwony Krzyż na centrum pomocy. Cóż za złośliwość z bożej strony.

3. Andrew Thorburn zrezygnował z funkcji prezesa australijskiej drużyny piłkarskiej Essendon w niespełna dobę po podjęciu pracy. Thorburn jest przewodniczącym rady Kościoła Miasto na Wzgórzu, który naucza, że pociąg do tej samej płci jest grzeszny, i porównuje przerywanie ciąży do hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Kibice Bombersów dostali amby, gdy w sieci pojawiło się homofobiczne kazanie jednego z pastorów Kościoła – z 2013 r. „Gdy tylko poznaliśmy treść kazania, natychmiast podjęliśmy działania w celu wyjaśnienia publicznie wyrażonych opinii, które są w bezpośredniej sprzeczności z naszymi wartościami jako klubu. Essendon jest klubem integracyjnym, różnorodnym i bezpiecznym, w którym wszyscy są mile widziani i szanowani” – ogłosił zarząd klubu, informując o dymisji Thorburna. 1:0 dla postępu.

4. I jeszcze jeden sukces: sąd apelacyjny w Nantes zdecydował o usunięciu figury Michała Archanioła ze smokiem z terenu publicznego w mieście Les Sables-d’Olonne. Figura przez 80 lat stała na terenie nale-

żącym do prywatnej katolickiej szkoły, ale 4 lata temu została przeniesiona na plac miejski. Sąd stwierdził, że „postać świętego Michała, Naczelnego Dowódcy Anielskich Sił Zbrojnych, jest częścią chrześcijańskiej ikonografii i ma charakter religijny”, toteż nie ma na nią miejsca na terenie publicznym zgodnie z ustawą z 1905 r. o rozdziale Kościoła i państwa. O usunięciu figury wystąpiło Stowarzyszenie Wolnej Myśli. „To zrzeszenie antyklerykalnych emerytów, którzy zajmują sobie czas bitwami prawnymi. To niewielka, ale bardzo wpływowa mniejszość” – rozpacza Baudouin Poupon, szef stowarzyszenia „Ręce precz od mojej statui”. Emeryci górą!

5. Chrześcijańska influencerka Emma Antebellum poinformowała fanów na TikToku, że zrobiła sobie implanty z wody święconej. Zainspirował ją Pierwszy List do Koryntian: „Czyż nie wiecie, że ciało wasze jest świątynią Ducha Świętego, który w was jest, a którego macie od Boga, i że już nie należycie do samych siebie? Za wielką bowiem cenę zostaliście nabyci. Chwalcie więc Boga w waszym ciele!”. „Tak jak Jezus nabył moją duszę, tak moi superfani nabyli te implanty. Jestem tak błogostawiona” – wyznaje Antebellum. Święcona woda w jej cyckach pochodzi z Morza Galilejskiego, gdzie Chrystus chodził po wodzie, uspokoił burzę i nakarmił masy kilkoma rybami. „Moje piersi są wypełnione Duchem Świętym” – ogłosiła pobożna niewiasta, dodając, że „uhonorowanie Jezusa moim ciałem oznacza przejście od miseczki B do D”. Alleluja!

6. Lori Alexander – chrześcijańska blogerka znana jako „Zreformowana Żona” – opracowała listę plusów

i minusów bycia feministką. Lista ta budzi podejrzenie, że Alexander tak naprawdę jest sprytną agentką feminizmu, wysłaną do świata chrześcijańskiej propagandy, żeby go ośmieszyć. Zawiera takie np. mądrości: „Feministki wychowują córki na feministki, przygotowują je do studiów i kariery, uczą je być niezależnymi, głośnymi i wyrazistymi w opiniach, ubierać się, jak chcą, i używać antykoncepcji”. Podczas gdy chrześcijanki „wychowują córki na chrześcijanki, żony, matki i gospodynie domowe, uczą je zależeć od woli bożej, być potulnymi i cichymi, ubierać się skromnie” oraz „być płodną i się rozmnażać”. Córka musi być naprawdę bardzo niechcianym i niekochanym dzieckiem, żeby matka świadomie wybrała dla niej ten drugi wariant.

7. William i Stephanie King to młoda para, która poszła do ołtarza z opaskami systemu dozoru elektronicznego na kostkach, używanego do monitorowania skazanych poza więzieniem. „Księga Efezjan mówi, że jesteśmy niewolnikami Chrystusa. Te nadajniki nam o tym przypominają” – wyjaśniają. Gdy ogłosili na Twitterze swój zamiar zostania elektronicznie monitorowanymi niewolnikami Jezusa, otrzymali mnóstwo wyrazów wsparcia – w tym sporo finansowego; wieść gminna głosi, że wystarczyło im na ślub, wesele i podróż poślubną. Teraz wykorzystują zainteresowanie, jakie w nieznajomych wzbudza ich nietypowa biżuteria, żeby opowiadać swoją historię i głosić słowo boże. Jednak musieli zaniechać ewangelizowania w pobliskim Starbucksie, ponieważ klienci się skarżyli. „Niech ich Bóg błogosławi, wszyscy pójdą do piekła” – napisała na Twitterze madame King. □

Tam, gdzie trawa zielona i władza pełna głabów...

W Małopolsce istnieje jedyna na świecie droga widmo. Pojawia się i znika w zależności od widzimisię lokalnej władzy. Obok jest druga. Padła właśnie ofiarą kradzieży.

Jordanów to miasto rozparte nad Skawą w Kotlinie Rabczańskej. 5 tysięcy duszyczek, 500 lat historii. Lokował je Wawrzyniec, Jordan oczywiście. Od trzystu lat pieczę duchową sprawuje nad nim kamienny św. Jan Nepomucen, trzeba trafilu, opiekun dróg. Po sąsiedzku, w Rabie Wyżnej, urodził się kardynał Stanisław Dziwisz. Rządy w gminie sprawuje Andrzej Dziwisz, bratanek, co bardzo motywuje okolicznych włodarzy do troski o sprawy duchowe.

Jordanowem rządzi burmistrz Andrzej Malczewski. Persona niesłychanie pryncypialna, o czym niedawno dowiedziała się cała Polska. Pamiętacie Janka?

Tęcza

16-latek domalował na białym tle herbu miasta tęczowe pasy. Dzieło opublikował w walentynki na facebookowej grupie „Jordanów – moje miasto” razem z komentarzem: „**Wspólny szacunek jest najważniejszy. W Jordanowie wspieramy się nawzajem i kochajmy bez uprzedzeń. Jordanów proLGBT. Precz z narodowcami!**”.

Wpis wisiał pół godziny. Wystarczająco długo, aby zwrócić uwagę burmistrza, który uznał, że tęcza znieważa herb i Jordanów. Burmistrz Malczewski zawiadomił więc policję. Wezwano dzieciaka na rozpytanie. Policjantka uprzedziła, żeby nie zmarnował sobie życia. Trafi do poprawczaka, bo popełnił „**karalne przestępstwo**”. Wystraszony Jaś opublikował przeprosiny.

Solidarni z Jankiem pomalowali w tęczowe pasy herby stu innych miast, gmin, powiatów i województw. Można je podziwiać na profilu Instytutu Równości.

Ostatecznie Stanisława Stanek, prokuratorka rejonowa z Suchej Beskidzkiej, oznajmiła, że Janek może spać spokojnie. Ma więcej szczęścia niż rozumu, zarzutów nie będzie. Art. 137 kodeksu karnego przesądza, że owszem, można karać osoby „**publicznie znieważające, niszczące, uszkadzające lub usuwające godło, sztandar, chorągiew, banderę, flagę**”, ale tylko państwo. W przepisie nie ma słowa o nieodpowiedzialnym wbiwaniu się herbami miast.

Chyba że wałnąć w chłopaka artykułem 257 kodeksu karnego... To ten od nawoływania do nienawiści. Prokuratura sprawdziła i odpuściła. Kiepskie mamy prawo! Jest tam mowa o grupach etnicznych lub wyznaniowych, a nawet o ateistach, a narodowcy to ludzie skupieni wokół jednej idei politycznej, niestety. Choć gdy się lepiej przyjrzeć, to możemy mieć do czynienia z szykanowaniem katolików.

Domy

Sprawa naprawdę ważna to w Jordanowie budowa drogi Hajdówka. W planach droga po-

Zaułek Dziwisza



Rys. PATRYK SROZŹŃSKI

jawiła się 16 lat temu. Połączy tutejsze nieruchomości z Zakopianką – zdecydowali rajcowie.

Hajdówka pozostała na papierze. Ludzie dojeżdżali do posesji drogą nad Skawą. Prywatną, położoną na działkach dzierżawionych od skarbu państwa przez spółkę akcyjną Valvex, czołową producentkę armatury do instalacji wodnych, gazowych i centralnego ogrzewania, utrzymującej w Jordanowie fabrykę.

Spółka Valvex poszła z łapą do burmistrza. Wszyscy jordanowianie tędy jeżdżą. Dorzucił się pan do remontu – poprosiła.

Sprawę zbadała odpowiednia komisja rady miejskiej.

Jacy wszyscy? Może ktoś czasem przejedzie, ale niesłychanie rzadko. Tam przecież jest dobry dojazd. Hajdówka...

Spółka Valvex wywaliła na remont 558 331 zł. Kombinowała: może postawić szlaban? Gdy się ograniczy ruch, nawierzchnia wystarczy na dłużej...

Wreszcie ludzie się zorientowali, że Hajdówka istnieje tylko w kwitach. Gdy ratusz poświadczał, że ich posesje mają dostęp do drogi publicznej o numerze ewidencyjnym 5557/1, to kłamał. Z zawiadomienia o przestępstwie podpisanego przez mecenas Anetę Dudek z Krakowa: „**Wskazana droga 5557/1 nie istnieje i nie tworzy faktycznego ciągu komunikacyjnego drogi publicznej**”.

Wieża

Jordanów słynie z pięknych widoków na Beskid Makowski. Gdy nie ma mgły, można wypatrzyć Tatry. Aż się prosi o punkt widokowy. Kasę dał Rządowy Fundusz Inwestycji Lokalnych. 18-metrowa wieża z lunetą, do tego infrastruktura

ra towarzysząca. Urzędnicy wydali pozwolenie na budowę. „**Działka przeznaczona pod inwestycję zlokalizowana jest w bezpośrednim sąsiedztwie drogi publicznej 5557/1**” – napisali. To ta droga, której nie ma.

Miasto poprosiło spółkę Valvex, żeby przepuściła ciężarówki z materiałami budowlanymi. Zwiększony ruch spowodował komplikacje. Co będzie, gdy do punktu widokowego zaczną się jeździć turyści?

Miejscowi zrozumieli, że ich los zależy od grzeczności prywatnej firmy, która może pozwolić przejechać przez swój grunt, ale nie musi. Wtedy będą kilometrami taszczyć zakupy. Do ich posesji nie dojedzie nawet karetka pogotowia!

Kradzież

Wrzenie mogło rozsądzić garnek. Burmistrz mógł kupić drogę nad Skawą, ale to byłoby kłopotliwe i kosztowne. Zawniósł więc do Sądu Rejonowego w Suchej Beskidzkiej, żeby wyodrębnił grunt zajęty przez tę drogę i stworzył dla niego nową księgę wieczystą, wpisując jako właściciela samorząd Jordanowa. Sąd urzęcywistnił ten finezyjny plan.

Mecenas Aneta Dudek: – W sądzie o mało mnie nie zlinczowali, gdy podniosłam sprawę. „Tak ma być. Jest dobrze. Po co się wtrącam?” – pytały urzędniczki. Krzyczały, że się nie znam. Ze mój klient nie będzie zadowolony.

Z zawiadomienia o przestępstwie: „**Burmistrz poświadczył nieprawdę i wywołał skutek wywłaszczeniowy (...), doprowadzając do dokonania przez Sąd w Dziale II utworzonej Księgi Wieczystej nr KR1B00079013/9 wpisu**

własności prywatnej drogi nad Skawą na rzecz gminy miasta Jordanów, działając tym samym na szkodę skarbu państwa – właściciela – oraz Valvex S.A. – użytkownika wieczystego”.

Pizza

– Chciał zatuszować zaniechania i nadużycia, wymazać wielokrotne poświadczenia nieprawdy przez ratuszowych urzędników – uważają dziewczyny czekające na pizzę w „Gracji”.

– Założył, pewnie słusznie, że ludziom jest wszystko jedno, którą pojadą do swoich domów, byle dało się przejechać. I to prawda. Po co wyrzucać pieniądze na drogę, skoro obok jest druga? – wcina się lisyjący 40-latek w bluzie GAP – Dogadać się powinni, ot co – przekonuje.

Burmistrza nie ma i do końca tygodnia go nie będzie. Sekretarka coś słyszała o kradzieży drogi. Komentarz? Odsyła do wydziału geodezji.

– Pierwsze słyszę: drogę ukraść? Niemożliwe! – zaperza się urzędnik.

Posiedzenie

Jesteście ciekawi, co z Jankiem? Burmistrz nie zmienił zdania. Herb został wykorzystany „**niezgodnie z postanowieniami Rady Miasta Jordanowa w sprawie zasad używania Herbu Miasta Jordanowa**”. Włodarz zareagował, bo musiał. Jest przecież człowiekiem pryncypialnym.

Śmieszność polega choćby na tym, że herb Jordanowa, za który burmistrz dałby się pokroić, w ogóle nie jest herbem. Z przepisów jednoznacznie wynika, że projekt herbu powinien zostać zaopiniowany przez ministra zajmującego się administracją publiczną. Jordanów do tej pory nie dopełnił tego warunku.

Tęcza nie uszła Jankowi na sucho. Przestępstwa nie ma, ale czyn był! Suska prokuratura powiadomiła o malunku Wydział ds. Rodzinnych i Nieletnich miejscowego sądu. Odbyło się posiedzenie wyjaśniające. Z przecieków wiem, że wcale nie zajmowano się przepaszaniem małoletniego za kretyńskie zachowanie władzy i organów ścigania...

BOŻENA DUNAT
bdunat@redakcja.nie.com.pl

ETYKA BEZBOŻNA

Trup trupowi wilkiem

Niedawno w środtku sejmowej awantury wokół węgla i wicepremiera Sasina doszło do małej wrzutki „kulturowej” czy też osobliwego przerywnika. Otóż ni z gruszek, ni z pietruszki pewien poseł poprosił z mównicy o uczczenie minutą ciszy strażaka, który właśnie zginął podczas służby, potrącony przez samochód na autostradzie A4, gdzie brał udział w akcji ratowniczej. Oczywiście wszyscy wstali. Niby nic, a jednak w tle aż gotuje się od problemów etycznych.

Pytania rodzą się następujące. Dlaczego jeśli w wypadku ginie strażak, to w sejmie powinna być minuta ciszy, a gdy ginie cywil, to nie? Dlaczego dzieje się to w przypadku strażaka X, a w przypadku strażaka Y już nie? Czy obowiązują jakieś reguły i czy reguły tego rodzaju obowiązywać powinny? Ale to nie wszystko. Trzeba zapytać generalnie: jakie reguły rządzą bądź raczej powinny rządzić publicznym upamiętnianiem zmarłych? W grę wchodzi państwowe pogrzeby, żałoba narodowa, minuta ciszy na posiedzeniach gremiów państwowych. Sprawa jest bardzo kontrowersyjna. W Japonii dochodziło w ostatnim czasie do poważnych protestów prze-

ciwko państwowemu pogrzebowi, wyprawionemu zamordowanemu byłemu premierowi Shinzo Abemu. Żenujące? Owszem, wszak mówi się „ciszej nad tą trumną”. Ale żeby nad trumną było ciszej, trzeba kilka drażliwych kwestii przemysleć zawczasu.

W Polsce mieliśmy 2 żałobne szaleństwa i jedno antyszaleństwo.

Po śmierci Jana Pawła II media znalazły się w takim stuporze i przerażeniu, że przez dobry tydzień bały się mówić o czymkolwiek innym, aby nie być oskarżone o niefrasobliwość i naruszanie powagi żałoby. Opresyjność tej niekończącej się chwalby i żałoby odzwierciedlała skalę kultu jednostki, który właściwie przebił już wszelką skalę, stając się nawet w oczach katolików czymś zawstydzającym.

Drugie szaleństwo to Smoleńsk, którego 96 ofiar otrzymało żałobną odprawę na tamten świat w skali nieporównanie większej niż wszystkie inne ofiary wypadków komunikacyjnych w dziejach Polski razem wzięte. Ta dysproporcja była doprawdy zadziwiająca. Jednak najbardziej rażąca wydaje się zimna nieczułość państwa (ale i społeczeństwa również) wobec utraty ok. 180 tysięcy współobywateli, któ-

rzy bezpośrednio lub pośrednio padli ofiarą pandemii, tworząc taką właśnie ogromną liczbę „zgonów nadmiarowych”. To niepojęte, że tak potworna strata nie została upamiętniona choćby jednym dniem żałoby narodowej albo jakkolwiek państwową uroczystością. Ba, ci, którzy próbowali demonstrować w tej sprawie, byli ścigani przez policję. Dlaczego tak było? Po prostu dlatego, że zgony tych tysięcy były ukryte, niewidoczne, nieefektywne, a zmarli to zwykli ludzie, nie zaś „bohaterowie zbiorowej wyobraźni”.

Z pewnością inaczej upamiętnia się zmarłych śmiercią gwałtowną na służbie, a zwłaszcza w związku z jej pełnieniem. Z pewnością czym innym dla społeczeństwa jest śmierć osoby znanej i dla jakiejś grupy ludzi ważnej, a czym innym śmierć zwykłego anonimowego człowieka. Z pewnością bardziej poruszająca jest śmierć dzieci niż dorosłych, tym bardziej starszych. Z pewnością jednakowa śmierć dużej liczby osób bardziej przemawia do wyobraźni i wywołuje silniejszy wstrząs emocjonalny niż śmierć rozproszona w przestrzeni i czasie. Wszystko to jest zrozumiałe i musi być uwzględnio-

ne w obyczajach i przepisach związanych z upamiętnieniami. Jednocześnie jednak trzeba pamiętać, aby nie dopuścić się niesprawiedliwości polegającej na nadmiernym skupieniu się na jednych ofiarach tragedii i jednoczesnym ignorowaniu innych. W hołdach i upamiętnieniach też obowiązują sprawiedliwość, bo one też są pewnym dobrem, które się publicznie rozdziela.

Brak równowagi i wyczucia w owym pośmiertnym hierarchizowaniu ofiar to jedno, a szantaż emocjonalny to drugie.

W obliczu ludzkiej śmierci często znajdują się tacy, którzy chcą skorzystać z okazji i wejść w prestiżową rolę kustoszy pamięci.

Tak właśnie zrobił ów poseł, proponujący minutę ciszy po śmierci strażaka na służbie. W istocie wcale jej nie zaproponował, lecz ją po prostu wymusił, doskonale wiedząc, że nikt

nie śmie zaprotestować ani się wyłamać, aby nie być posądzony o arogancję. Takie zachowanie nazywa się szantażem moralnym. Spotykamy się z nim całkiem często. Chrześcijanie zwykli się do niego odwoływać, mówiąc bądź sugerując kandydatom do nawrócenia taką oto ideę: on umarł za ciebie, a ty co? Odmówisz mu teraz czci i wierności? Ów poseł podobnie: co, może nie wstaniesz na minutę ciszy, na moje wezwanie?

Gdybym był wtedy w sali plenarnej, nie ugiąłbym się. Nie wstałbym i wyjaśniłbym potem swoje zachowanie tym, że odczułem niestosowną presję moralną, jaka była na mnie wywierana. A że presja taka jest niegodziwą manipulacją i szantażem emocjonalnym oraz moralnym – i to takim, który wykorzystuje czyjąś śmierć – uznałem za swój obowiązek się jej nie poddawać. Nie ma zwyczaju czcić minutą ciszy w sejmie każdego, kto ulegnie śmiertelnemu wypadkowi na służbie, wobec czego nie powinno się w taki sposób wyróżniać akurat tego jednego strażaka. To, że ktoś próbował to wymusić, nie znaczy jeszcze, że oparcie się temu jest niemożliwe. Jest możliwe, lecz kosztowne. Gdybym nie wstał, zebrałbym mnóstwo hejtu i niewiele pochwał. Ale tak to już jest w życiu moralnym, że nonkonformistyczne wybory są kosztowne.

JAN HARTMAN

WIEŚCI GMINNE i INNE

■ Rada Sanitarno-Epidemiologiczna Główniej Inspekcji Sanitarnej uaktualniła listę substancji zakazanych w suplementach diety. Eksperci wpisali na czarną listę aloes. Ekstrakty z aloesu są genotoksyczne i powodują raka. Jeżeli macie w łazience: wyciąg z aloesu na piękną skórę, żel z aloesem do skóry suchej, krem do rąk, maskę lub serum z aloesem do włosów suchych i matowych, peeling do ciała – wszystkie je wylejcie do kibla i spuśćcie wodę! Bezuciskowe skarpety bawełniane z aloesem włóżcie do czarnego pojemnika na śmieci z napisem „Zmieszane”. Narodowy Fundusz Zdrowia nie ma pieniędzy na leczenie waszych nowotworów.

■ Mieszkańcy Białegostoku zachowują się, jak gdyby wszyscy dostali raka odbytu w związku z enuncjacją wiceprezydenta miasta Rafała Rudnickiego, który po dał do ich wiadomości, że wśród drzew przy ul. Legionowej postawił 2-stanowiskowy kibek za 400 tys. zł. Oprócz ceny za ten przybytek, równej średniej wielkości zabudowanej nieruchomości na Podlasiu, ludziom nie podoba się „surowy styl” wygódki. W rzeczy samej wygląda jak schron przeciwatomowy. Ale ludzie w Białymstoku w ogóle są zrędlowi i nieprzychylni innowacjom.

■ Gdyńska piekarnia „Bochen”, produkująca 6 ton pieczywa na dobę i zatrudniająca 100 osób, likwiduje działalność – ponieważ produkcja chleba się nie opłaca. Wszystko jest za drogie. Zasadniczo słusznie. Jeśli ludzie nie będą kupować chleba, będą mogli zaoszczędzić.

■ 10-letni Paweł z Goczałkowic-Zdroju wykazał się prawdziwie bohaterskim zachowaniem. Heroizm polegał na tym, że znalazł na chodniku etui, a w nim 10 tys. zł, i nic nie ukradł, tylko oddał do biura rzeczy znalezionych w pszczyńskim starostwie. W tym biurze też tych pieniędzy nie ukradziono. Nawet policja, do której sprawa trafiła, nie potaszczyła się na łatwy zarobek. W zamian za uczciwość pszczyński komendant policji oraz wicestarosta nagrodzili chłopca serdecznymi uściskami dłoni w obecności kolegów i wychowawcy, który tak dobrze go wychował. Znalazca otrzymał 2 worki upominków oraz dyplom za wzorową postawę. Odbył też wycieczkę na wspomnianą komendę policji, żeby mieć świadomość, dlaczego nie warto się tam znaleźć w celach pozaturystycznych.

■ Spółdzielnia Mieszkaniowa „Posejdon” w Gdyni nałożyła na mieszkankę karę za oszczędzanie energii. Pani Aleksandra, bo o niej mowa, kompulsywnie przykręcała ka-

loryfery codziennie przed wyjściem do pracy. Przez to jej rachunek za ciepło był niewspółmiernie niższy niż rachunki innych lokatorów tego samego bloku. Dyrekcja spółdzielni utrzymuje, że 500-złotowa kara jest słuszna, ponieważ nie może być tak, że ktoś kradnie ciepło od sąsiadów przez ścianę, którzy płacą, ile się należy. Zaznaczono zarazem, że nawet z tą karą rachunek dla pani Aleksandry jest mniejszy, niż to bywa z reguły.

■ Redaktor Kamil Dąbrowa, były dyrektor radiowej Jedynki, prawomocnie wygrał z Polskim Radiem proces o niesłuszne zwolnienie dyscyplinarne za to, że (jak twierdził) przez kilka dni co godzinę grano na antenie hymn Polski i Unii Europejskiej. Sąd okręgowy przyznał Dąbrowie odszkodowanie w wysokości 3-miesięcznej pensji wraz z odsetkami. Granie „Mazurka Dąbrowskiego” i „Ody do radości” nie było naruszeniem obowiązków pracowniczych – utrzymuje sąd. Kurwa, ale nie przez 2 tygodnie co godzinę, przez 8 minut bez przerwy! Nudny program to zły program. Za takie rzeczy jednak należała się dyscyplinarka.



rys. PATRYK SROCIŃSKI

■ Policja poszukuje kierowcy radiowozu wyjeżdżającego z ul. Krobskiej w Kobylinie, który nie zatrzymał się przed przejściem dla pieszych, gdzie stała kobieta. To jest obecnie wykroczenie baaardzo poważne. Zagrożone karą w wysokości 1,5-krotności zasilku dla bezrobotnych (mniej więcej). Nic dziwnego, że nikt się nie przyznaje do wykroczenia. Po pierwsze wszyscy policjanci są do siebie bardzo podobni, a po drugie żaden nie chce iść na bezrobocie.

■ Decyzja zapadła! PKS Walcz (województwo zachodniopomorskie) ostatniego dnia 2022 r. zakończy działalność. W roku 2020 przedsiębiorstwo poniosło stratę w wysokości 1,6 mln zł. Rok później 1,1 mln, a do końca sierpnia tego roku 800 tys. zł w plecy. Nie można w nieskończoność jeździć na bezdurno i za grosze.

■ W centrum Rzeszowa ktoś włamał się do kantoru. Nie było to zwykłe włamanie. Ten ktoś przez ponad półtorej godziny musiał napierdalać w ścianę młotem udarowym, elektrycznym lub pneumatycznym, aby wykuć dziurę w cegłano-betonowym murze o rozmiarach dorosłego człowieka. Nikt nic nie słyszał. Po 800 tys. zł, które były w sejfie, również słuch zaginał.

R.J.

Informacje zaczerpnęliśmy z prasy lokalnej. Życzylibyśmy sobie i Wam, aby przynajmniej niektóre nie były prawdziwe. Obawiamy się jednak, że są.



LISTONOSZ DONIOŚŁ

Lepsza połowa życia

Pierwszy numer „NIE” kupiła mi żona. Na drugi dzień w robocie podczas śniadania powiało sensacją. Młodych zaciękało, nawet mało się burzyli. Ale ci starsi, hoho! Jeden w drugiego Polacy katolicy co się zowie, solidarnościowcy i arcyantykomuniści. Jeden z nich należał nawet do rady parafialnej, żywego różańca i jakiegoś zakonu świeckich. Ci mnie wzięli w obroty: że nie uchodzi, że się nie godzi, że jak to wygląda i że bozia mnie skarże. Ja im na to, że Paweł, uważany za świętego, pisał w jednym z listów: czytajcie wszystko, a co dobre, zachowajcie.

Po kilku miesiącach uznali mnie za przypadek nieuleczalny i dali odsapnąć. Ale biskupi nie. Confiteor, miałem i ja swój „okres błędów i wypaczeń”: odwiedzałem kościół i razu pewnego usłyszałem, że ich fluorescencje uznali czytanie Urbanowego piśmiidła za grzech śmiertelny podlegający spowiedzi. Jak to usłyszałem, bezceremonialnie przepchałem się do wyjścia i dało się słyszeć gromkie zamknięcie drzwi.

Za to w pracy nastąpił okres względnego spokoju, tzn. dostałem etykiety Żyda, nierreformowalnego ortodoksa urbanoidalnego i kogoś związanego z komuną. Raz tylko kierownik mi powiedział: Vivaldi, przecież to tak, jakbyś wziął gówno do ręki. Odpowiedziałem w swoim stylu: panie kierowniku, próbowałem wziąć jedno i drugie – kolosalna różnica. No i przez parę lat miałem na karku dyżurnego katolika, nawet mu czas jakiś fundowałem co tydzień gazetkę, aż mnie zeżłił i się skończyło.

On jednak tak przywykł (!), że w zamian zaproponowałem mu prenumeratę z dostawą do domu. I tego przestraszył się naprawdę: mieszka w sporej wsi pod Gdańskiem, a listonoszką była krewna proboszcza, a on do proboszcza może jeszcze mieć jakieś sprawy... Wiadomo. I z dostaw nici.

I tak wiodłem szczęśliwy, acz mało emocjonujący żywot czytelnika aż do emerytury. Najwyżej musiałem zapewniać ciekawskich, że „NIE” ciągle wychodzi, a Urban jednak żyje.

Teraz nie ma już kogo wkurwiać. Nawet na pogrzebie okrzyki oburzenia wyglądały jak odrabianie pańszczyzny. Świat się kończy: brzydzenie się Urbanem weszło do kanonu zachowań, jak wycieranie butów i niepięderzenie w salonie. On, jak zwykle, wiedział, co robi.

Waldemar Miksa, Gdańsk

Nie jest źle

Kochani, macie klasę; obawiałem się, że „żałobny” numer będzie czarny, płacziwy i w całości poświęcony Nieboszczykowi. A na okładce czarno-biały portret smętnego Jerzego Urbana. Oczywiście Urban jest, na trzeciej stronie, kolorowy, radosny, z cygarem sir Winstona. Pierwszy raz widzę w mediach wspominki o zmarłym w kolorowej tonacji. Może wreszcie taki przekaz się upowszechni? Musi Pana Jerzego bardzoście lubili i szanowali.

Cieszę się, że pismo będzie dalej wydawane. Mam propozycję i prośbę: aby drugą stronę tygodnika pozostawić Panu Jerzemu, przypominając Jego najważniejsze felietony. Niech redakcja dokona wyboru najlepszych tekstów, czyli tych, które wzbudziły największy zachwyt lub wściek. A także innych, może niekontrowersyjnych, ale najlepiej oddających bogactwo osobowości Jerzego Urbana.

S.B.

„In memoriam”

Chodzi o felieton Jana Hartmana z „NIE”, nr 40. Autor podniósł mi ciśnienie, pisząc, że Urban „jednak wybrał źle. Stał po niewłaściwej stronie, (...)”, w końcu przecież był jednym z ludzi tamtego reżimu”. Z tym reżimem to przesadził, chyba nie miał okazji żyć w reżimowym państwie.

Skąd to Hartman wie i na jakiej podstawie pisze, że Urban kłamał w sprawie Przemyska, Popieluski, Wałęsy. No i ten wstyd Hartmana przed ludźmi z Zachodu za kłamstwa Urbana. Biedaczek, tyle się „nawstydził” za rzecznika rządu. Czy Hartman dociekał w tych sprawach prawdy? Czy prawdą było dla niego to, co mówili ludzie „Solidarności”, wrogo nastawieni do PRL i Urbana?

W przeciwieństwie do Hartmana uważam, że dzięki takim ludziom jak Jerzy Urban w otoczeniu Generała Wojciecha Jaruzelskiego Polska przeszła zmianę systemu w spokoju.

Autor poleca na końcu artykułu, aby wrogość Jerzego Urbana zapoznali się z jego biografią i sięgnęli do jego książek. A sam tego nie zrobił.

Jako były wróg Urbana zapomniał sam zapoznać się z tekstami Urbana, w których ciągle wyjaśniał swoje motywacje, decyzje i wpływ na dobre decyzje Generała.

To hipokryzja Hartmana, aby się nie narażać za bardzo swojemu staremu koleżeństwu, wrogiemu w stosunku do działalności Urbana, w połączeniu z jego obecną sympatią do szefa „NIE”, spowodowała, że tak się gmatwa w tym artykule ku pamięci.

Jak dla mnie to Jan Hartman popełnił tym tekstem niewybaczalną gafę.

Pozdrawiam

Krycha

Pamięć

W zeszłym roku do redakcji „NIE” wysłaliśmy kartkę świąteczną z choinką i prezentami pod nią, z życzeniami z okazji świąt. Pan Jerzy opierdolił nas ostro w swoim felietonie, pisząc, abyśmy takie widokówki wsadzili sobie w dupę. Stwierdził po prostu, że widok choinki wkurwia go do bólu. Jako Polska Partia Ateistyczna głowiliśmy się, jak zareagować na ten opierdol. Wybraliśmy jedyną słuszną odpowiedź. Po prostu gorąco go przeprosiliśmy i stwierdziliśmy, że więcej się to nie powtórzy. Tego nauczył nas Urban: dystansu do świata i samych siebie.

Cześć jego pamięci!

Ateści z Gdańska

R E K L A M A

TRYBUNA
Czeka w kiosku!

A w niej:

- Jerzy J. Wiatr
- Longin Pastusiak
- Tadeusz Iwiński
- Danuta Waniek
- Bogusław Liberadzki
- Krzysztof Janik
- Tadeusz Wojciechowski
- Tadeusz Klementewicz
- Andrzej Wilk
- Piotr Gadzinowski

Masz dość propagandowej papki?
Chcesz mądrzej patrzeć na świat?

www.trybuna.info

PRZEGLĄD

JERZY URBAN
OSTATNI WYWIAD

WOJCIECH KLIČKI
SŁUŻBY MOGĄ PODSŁUCHIWAĆ KAŻDEGO

WOJCIECH ŁUCZAK
NUKLEARNA ŁAMIGŁÓWKA PUTINA

POŚMIERTNE KŁOPOTY EWY DEMARCYK

tygodnikprzeгляд.pl

Mamy 4 miliony magistrów
MAGISTER
CZYLI KTO?

Korespondencja z Bolonii

Sos tak spaghetti nie

Zamówiliśmy małą toyotkę, dostaliśmy mahindrę. Produkt indyjskich inżynierów, który podbój Europy rozpoczął od Włoch.

– *Upgrade* – poinformowała pani z lotniskowej wypożyczalni, dodając do kluczyków uśmiech rozjaśniający pół twarzy.

Samolot Wizz Airu z Warszawy ląduje w Bolonii wieczorem. Lotnisko dzieli od miasta kilka kilometrów. Podróż krótka, ale wielokrotnie przerywana przez współużytkowników drogi, smagających nas długimi światłami.

– Włoscy faszyści – burczy za kierownicą córka.

Pije do wyników ostatnich wyborów parlamentarnych i zwycięstwa Giorgii Meloni. Przed hotelem wychodzi na jaw, że podróżowałyśmy bez światła: w mahindrze nie włączają się automatycznie...

Koleżanka. W wyborach w 2018 r. partia Giorgii Meloni dostała 4 proc. głosów. Łatwo policzyć, że od tamtego czasu urosła 6-krotnie. Jarosław Kaczyński w dniu podania włoskich wyników miał bardzo dobry humor.

„Jest nadzieja na to, że Europa zacznie się zmieniać” – ucieszył się.

Meloni szefuje Europejskim Konserwatystom i Reformatorom, klubowi w Parlamencie Europejskim, do którego należy też Prawo i Sprawiedliwość.

Kaczyńskiego (73 lata) i Meloni (45 lat) różni wiek i rodzina. Ona miała gorsze dzieciństwo. Tatusz porzucił Rzym i mamusię. Prysnał na Kanary, potem 9 lat odsiedział w hiszpańskim więzieniu za handel narkotykami.

Politycy mają też cechy wspólne. Choć są wielkimi zwolennikami Kościoła i tradycyjnej, najlepiej wielodzietnej rodziny, żadne nie powieźdowało przed ołtarzem sakramentalnego „tak”. On, jak wiadomo, ma kota. Ona żyje w nieformalnym związku, doczekała się córki. Ponieważ drogowskaz nigdy nie chodzi drogą, którą pokazuje, zgodnie uznają, że w hasła „Bóg, Honor, Ojczyzna” można zmieścić wszystko, co ważne dla Polaka i Włoszki.

10 miesięcy. Bolonia jest czerwona. Dosłownie, bo wybudowano ją z cegły i czerwonej dachówki. W przenośni, bo lewica ma się tu nadzwyczaj dobrze. Lokalną władzę sprawują politycy lewicy, podobnie jak w większości bogatych miast północnych Włoch.

Tutaj mieści się najstarszy uniwersytet świata. 100 tysięcy studentów włączających się po podcieniach – Bolonia słynie z 38 kilometrów krytych, pięknie zdobionych pasaży – maskuje smutną prawdę, że miasto jest stare. I nie chodzi jedynie o 2500 lat udokumentowanej historii.

Poza piazza Maggiore turystów nie widać. Zatrzymują się w Wenecji, Mediolanie, Florencji. Może z tego powodu miejscowi są bardzo życzliwi dla przybyszów. Choć lepiej nie kłuć w oczy, zamawiając w barach kawę *americano* albo *latte*.

W pierwszym przypadku kelnerzy przynoszą *espresso* i gorącą wodę, w drugim *espresso* i baniek mleka. Chcesz psuć napój bogów, zrób to sam.

Pija się *cappuccino*, rzeczywiście pyszne. Cena nie ma związku z położeniem kawiarni. Na tym samym piazza w kawiarnianym ogródku ceny wahają się od 1,20 do 3 euro.

Bar Vittorio Emanuele przy Palazzo Re Enzo funkcjonuje od 1882 r. Obsługuje studentów. Kawka, piwko, chcę zapłacić.

– 30 euro, 40 euro – nie może się zdecydować miły chłopak z burzą włosów o kolorze lnu.

Na piazza Maggiore nie musi być tanio, nie kwestionuję więc wysokości rachunku.

– *Check, please!* – proszę, bo nie wiem, jaki banknot zostawić.

Chłopak przynosi papier. Do zapłaty 13 euro.

– Z Gliwic jestem, Krzysiek – przedstawia się. – Przyjechałem na stypendium z Erasmusa. Wolałem na uczelnię anglojęzyczną, Włochy to był mój drugi wybór. Od początku musiałem dorabiać, dają 2100 euro na 10 miesięcy, co to jest?

Teraz utrzymuje się sam. Szlifuje język, spotyka się z Włoszką.

– Wszystko jest baaardzo drogie, za pokój płacę 390 euro miesięcznie – podkreśla. – Więc chyba nie pójdziesz z językiem do szefa, bo mi się liczby pomylily?

– Meloni? – powtarza pytanie. – Jest Meloni, będzie Pierdoni. Rządy we Włoszech zmieniają się jak pory roku.

W powojennej historii Włoch gabinety upadały średnio co 10 miesięcy. W ostatnim 4-leciu krajem rządziły dwie ekipy koalicyjne o przeciwstawnych profilach ideologicznych i jeden rząd techniczny. Wielkim wyzwaniem dla Meloni jest przetrwać całą kadencję.

Do rządu Włochami wystarczy 201 mandatów. Większość konstytucyjną daje 267. Meloni ma w izbie deputowanych 235 szabel. Do tego większość w senacie. Rząd stworzą Bracia Włosi i koalicjanci – Liga Północna Mattea Salvini i Forza Italia Silvia Berlusconi.

Ból w dupie. Partia Meloni wyrosła, bo była jedyną opozycją wobec rządów jednocy narodowej Maria Dragiego. Zaryzykowała, zostając z boku. Od tej chwili poparcie dla Braci Włochów zaczęło rosnać.

Powód: przeciętnemu Włochowi żyje się coraz gorzej. Pandemia przycięła dochody z turystyki. W kraju przebywa około 600 tysięcy nielegalnych imigrantów przybyłych via Lampedusa. Kiedyś straszakiem w północnych Włoszech byli rodacy z południa.

Przyjadą i podejmą pracę za mniejsze stawki... – mówiono.

Dziś zastąpili ich cudzoziemcy z Afryki.

Bracia Włosi głoszą hasła antyemigrancie. Włoch powinien wyglądać jak Włoch: ewentualnie jak Anglik czy Polak, czarnuchy won! Eurosceptyczne. Negują pandemię. Chcą centralizacji władzy poprzez zmniejszenie władzy regionów. Marzą o systemie prezydenckim. Dzieci w rodzinach jednopłciowych? W życiu! Obiecują podwyższenie emerytur i wynagrodzeń, a także obniżkę podatków. Oskarżają lewicę, że chce odwrócić.

Czy to będzie wcielane w życie?

Pani Meloni z wdziękiem zmienia zdanie. Kiedyś demonstrowała przywiązanie do tradycji włoskiego faszyzmu. Buńczucznie zapowiadała wyprowadzenie Włoch ze strefy euro. To wszystko jest *passé*. Dziś, owszem, ma usta pełne frazesów o biurokratach z Brukseli, ale jednocześnie wykazuje szacunek dla jej instytucji i procedur. Czuje nóż na gardle: zobowiązania Włoch sięgają 150 proc. PKB, od przepaści dzieli kraj jeden krok.

Meloni szuka ministra finansów, który uspokoi inwestorów. Ktoś z Europejskiego Banku Centralnego? Z Banku Włoch? Daniele Franco, szanowany w Europie technokrata? I z pewnością do końca roku trzeba uchwalić budżet. Zmniejszenie podatków? Jeszcze nie teraz.

Spory o praworządność? W życiu. Na nowego ministra resortu typowany jest szanowany prokurator z Wenecji Carlo Nordio.

Słychać, że Meloni chce do końca roku wypełnić 26 spośród 55 kamieni milowych, co jest warunkiem dalszego wypłacania przez Komisję Europejską wartego 200 mld euro Funduszu Odnowy dla Włoch.

Czy rząd Meloni przetrwa do końca kadencji? Salvini i Berlusconi śpiewają stare piosenki: nadal chcą ograniczenia podatków. Kochają Rosję

– w odróżnieniu od przyszłej pani premier. Partia Salvini była podejrzewana o przyjmowanie kasy z Moskwy.

Sankcje nie, pomoc dla Ukrainy nie – powtarzają, nie bacząc na poglądy Meloni.

Przyszła premier była ministrem ds. młodzieży w rządzie Berlusconi. Jej partner jest dziennikarzem pracującym dla koncernu Mediaset Berlusconi. Czy coś z tego wynika?

Koledzy Krzyska, którzy wpadli do baru Vittorio na piwko, uważają, że nie.

– Kilka lat temu Berlusconi promował kampanię wegetariańską – przypominają. – Tulił jagnięta uratowane przed skończeniem w wielkanocnym garze. A bardzo lubi jagnięce kotlety w pesto Castel Vetrano.

Antonio, student ostatniego roku medycyny, przypomina skandal sprzed roku. Ktoś nagrał Salvini, jak mówił o Meloni per „ból w dupie”.

Tradycja. To drugie imię Bolonii: Tłusta. *La Grassa*. Największe miasto prowincji Emilia-Romania słynie z wybornej kuchni.

Mówisz „Bolonia”, myślisz: *spaghetti bolognese*? Nie. Makaron spaghetti źle się komponuje z mięsnym sosem. Tutaj używa się wyłącznie makaronu tagliatelle. Danie nazywa się *tagliatelle al ragu*. Burmistrz Virginio Merola z lewicy wydał wojnę *spaghetti bolognese*.

„Wstyd jest być znanym na całym świecie z powodu czegoś, co nie istnieje” – przekonywał. „Spaghetti po bolońsku to całkowite zaprzeczenie lokalnej tradycji”.

I publikował w mediach społecznościowych foty paskudztwa z zagranicznych restauracji, zohydzające w gruncie rzeczy dobre imię miasta.

Bolonia się podzieliła.

Mają rację. Większość mieszkańców sekundo-wała ratuszowi.

Okazało się, że chodzi nie tylko o kuchnię.

Powstał Komitet Obrońców Lokalnych Przepisów i wytknął burmistrzowi kłamstwo albo nieznajomość lokalnej historii – jak kto woli. Przekonywał, że *spaghetti bolognese* jak najbardziej istniało. Podobnie jak bieda. Czy o biedzie też Merola nie słyszał?! 100 lat temu z okładem, w czasach wielkiego głodu, boloński ratusz przygotowywał *spaghetti bolognese* dla najbiedniejszych warstw społecznych!

Antonio nie głosował na Meloni. Jego kumple też nie. W ogóle nie poszli do urn, choć to jest wbrew włoskiej tradycji.

– Nie było w czym wybierać – mówią.

Frekwencja była niższa o 9 proc. niż w poprzednich wyborach. Wyniosła 63,8 proc. Jak na Polskę – dużo. Jak na Włochy – prawdziwy dramat, świadczący o narastającym braku zaufania do państwa.

BOŻENA DUNAT

bdunat@redakcja.nie.com.pl

Rys. WŁODEK KIERUS



BESTIA PONADNARODOWA



BESTIA NARODOWA



BESTIALSKO ZABAWNY PREMIER

Polskie społeczeństwo jest podzielone nie tylko politycznie. Jedna z linii dzieli tych, którzy interesują się sportem, od tych, którzy mają go gdzieś.

Ja oczywiście należę do pierwszej grupy, ale tego, czy jestem w większości, nie wiem, bo chyba nikt w naszym kraju nie prowadzi takich sondaży. W każdym razie jest nas niemało, jeśli ktoś by sądził po tym, ilu ludzi przychodzi na stadiony i do hal sportowych, przyglądając się walce stacji telewizyjnych o prawa transmisji ciekawych wydarzeń, a nawet przypadkowo podsłuchując rozmowy ludzi w sklepie czy restauracji.

Skąd wywodzi się

popularność sportu,

a raczej widowisk sportowych, bo przecież biorą w nich udział zawodowcy, przygotowywani do startów od dzieciństwa, a nie amatorzy kierujący się szlachetnymi pobudkami? Istnieje na ten temat wiele teorii; wszystkie – przynajmniej w części – są moim zdaniem prawdziwe. Zawody rozgrywa się na wielkich stadionach, często zaprojektowanych z niebywałym rozmachem. Każde miasto szczyścić się musi stadionem niczym metropolie w starożytnym Rzymie amfiteatrami. Czy po upadku naszej cywilizacji, a historia uczy, że każda cywilizacja kiedyś upada, wycieczki turystów zwiedzać będą ruiny Camp Nou, Estadio Santiago Bernabéu, Old Trafford czy choćby Stadionu Narodowego w Warszawie?

Widzowie z trybun tych wielkich obiektów oglądają mecze i inne ciekawe zawody, ale też sami stają się ich nieodłączną częścią. Przychodzą tam, aby się pobawić, tworzyć i chłonąć jednocześnie atmosferę; to, co dzieje się na arenie, mniej ich interesuje. Czasem nie jest fajnie, ale tyle razy pisałem o stadionowym chamstwie czy nawet bandytyzmie, że nie będę się powtarzał.

Widowiska sportowe stały się jednak przede wszystkim rozrywką telewizyjną. Transmisje ważnych zawodów biją rekordy oglądalności. Za tym oczywiście idą coraz większe pieniądze z reklam i sprzedaży praw telewizyjnych. Współcześni gladiatorzy, przynajmniej ci najlepsi w występnym w najpopularniejszych dyscyplinach, stają się dzięki temu milionerami, a zatrudniający ich biznesmeni (odpowiedniki lanistów w starożytnym Rzymie) obracają miliardami. Dyscyplina, która nie ma wystarczająco licznej widowni przed ekranami, traci rację bytu.

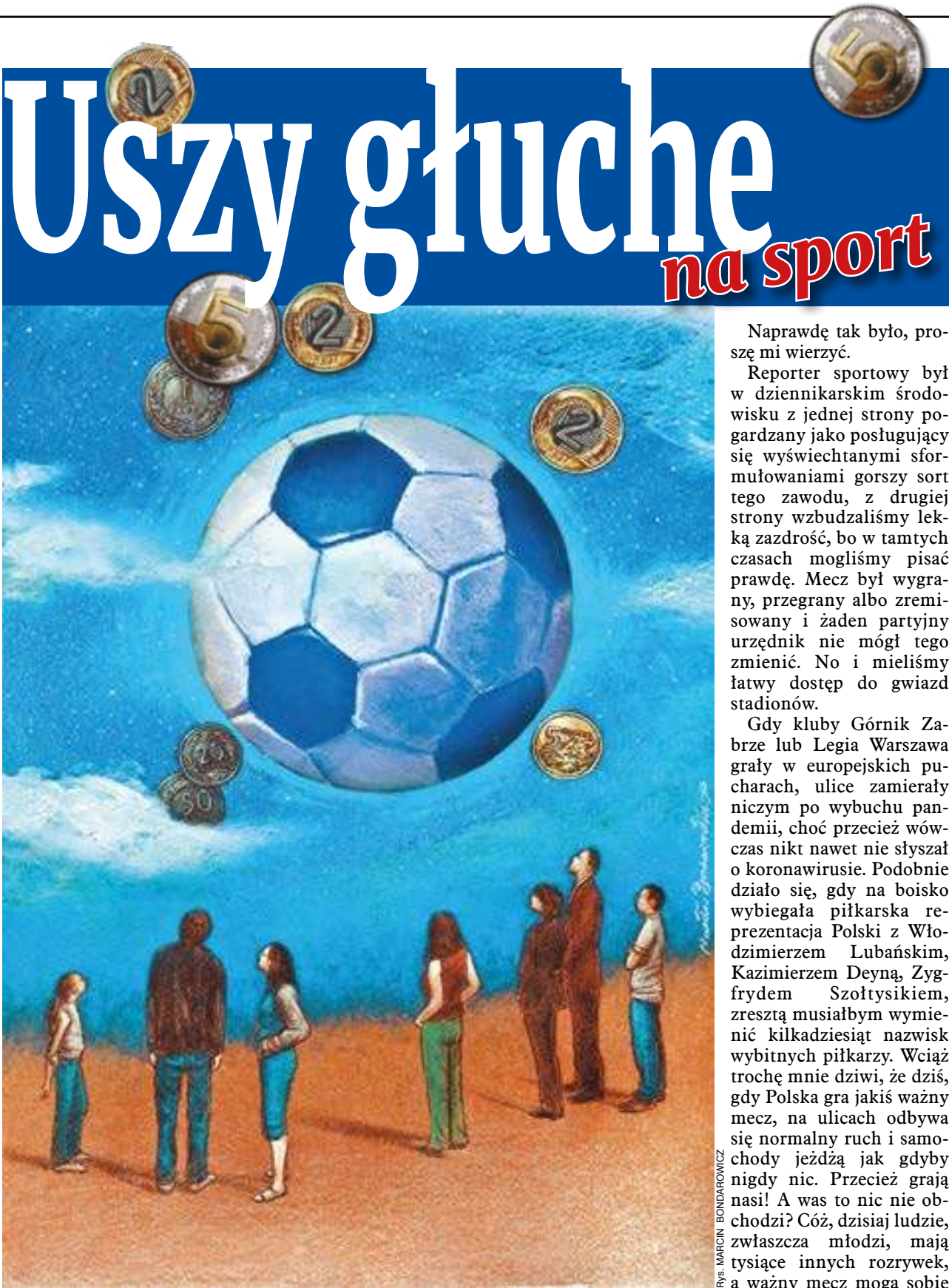
Rekordy popularności biją rozgrywki ligowe, zwłaszcza w piłce nożnej, ale inne gry także mają zwolenników. Liga ma w sobie coś z

serialu telewizyjnego,

tyle że aktorzy sami piszą scenariusz, a zakończenie każdego odcinka jest zagadką. Za kilka dni mamy kolejny odcinek serialu i tak aż do wyłonienia mistrza. Następuje przerwa i rozpoczyna się nowy sezon.

Najstarszymi cyklicznymi rozgrywkami w futbolu jest Puchar Anglii, zainaugurowany w 1872 r. Ten serial trwa do dziś i nikomu się nie znudził. Stadiony się zapełniają, a widzowie wpatrują się w ekrany i płacą abonamenty.

Popularność cyklicznych rozgrywek sprawiła, że niemal każda dyscyplina ma swoje puchary, a organizatorzy starają się uatrakcyjniac ich



Naprawdę tak było, proszę mi wierzyć.

Reporter sportowy był w dziennikarskim środowisku z jednej strony pogardzany jako posługujący się wyświechtanymi sformułowaniami gorszy sort tego zawodu, z drugiej strony wzbudzałyśmy lekką zazdrość, bo w tamtych czasach mogliśmy pisać prawdę. Mecz był wygrany, przegrany albo zremisowany i żaden partyjny urzędnik nie mógł tego zmienić. No i mieliśmy łatwy dostęp do gwiazd stadionów.

Gdy kluby Górnik Zabrze lub Legia Warszawa grały w europejskich pucharach, ulice zamierały niczym po wybuchu pandemii, choć przecież wówczas nikt nawet nie słyszał o koronawirusie. Podobnie działo się, gdy na boisko wybiegała piłkarska reprezentacja Polski z Włodzimierzem Lubańskim, Kazimierzem Deyną, Zygrydem Szołtysikiem, zresztą musiałbym wymienić kilkadziesiąt nazwisk wybitnych piłkarzy. Wciąż trochę mnie dziwi, że dziś, gdy Polska gra jakiś ważny mecz, na ulicach odbywa się normalny ruch i samochody jeżdżą jak gdyby nigdy nic. Przecież grają nas! A was to nic nie obchodzi? Cóż, dzisiaj ludzie, zwłaszcza młodzi, mają tysiące innych rozrywek, a ważny mecz mogą sobie ewentualnie obejrzeć później w jakimś elektronicznym medium. Jeśli w ogóle ich zainteresuje.

Kawał życia

spędziłem jako dziennikarz obsługujący kolarski Wyścig Pokoju. Po raz pierwszy pojechałem na niego w 1974 r. Impreza szczyt popularności miała już za sobą. Pamiętam, jak było wcześniej, bo w dzieciństwie wsłuchiwałem się w relacje radiowe, a jeśli komunikat z trasy zaskoczył mnie na ulicy, stawałem w tłumie innych kibiców pod wielkim głośnikiem, jakie stały na każdym rogu. Później można się było wybrać przed sklep z telewizorami, gdzie wielkie pudła wystawiano ekranem do ulicy; to już było tchnienie nowoczesności.

W 1974 r. na własne oczy zdążyłem jeszcze zobaczyć drzewa oblepione kibicami, którzy w inny sposób nie mogli się dopchać blisko szosy, żeby obejrzeć peleton. Na podwórkach rekordy popularności biła gra w kapsle, polegająca na popychaniu pstryknięciami palców kapsli po napojach trasą narysowaną kredą na chodniku. Każdy kapsel nosił nazwisko jakiegoś znanego kolarza; czy muszę pisać, że najczęściej było „Szurkowskich” i „Szozdów”? To były złote czasy polskiego kolarstwa, zbudowane właśnie na przygotowywaniu reprezentacji na Wyścigi Pokoju.

Telewizyjna widownia wydarzeń sportowych jest tak liczna, że przy okazji

pogrzebu królowej

Elżbiety II dziennikarze nie omieszkali zauważyć, iż transmisję z tego wydarzenia oglądało na świecie więcej ludzi niż finał piłkarskiej Ligi Mistrzów. Innego potwierdzenia wagi wydarzenia nie znaleźli, bo chyba trudno byłoby je znaleźć.

W czasach PRL sport nie miał wielkiej konkurencji. Była to jedna z niewielu rozrywek dostępnych dla młodych i dla starych, dla robotników, chłopów i inteligencji pracującej. Wśród sfer artystycznych istniała wręcz moda na interesowanie się zawodami i odwiedzanie aren. Nie istniał jeszcze zwyczaj fotografowania gwiazd na ściankach; gdyby istniał, ścianki ustawiano by przy wejściach na trybuny stadionów.

Aktorzy, pisarze, dziennikarze, słynni prawnicy i lekarze szczylicili się znajomością, a jeszcze lepiej – przyjaźnią z mistrzami sportu.

Skąd brała się taka popularność majowego wyścigu? Przecież te tłumy, które zbierały się wokół szos i met etapów, zaledwie przez moment widziały kolarzy. Później ludzi dziwiła wielka liczba samochodów towarzyszących zawodnikom. Telewizyjne transmisje też trudno nazwać pasjonującymi. Pokazywano tylko ostatni fragment trasy przed linią mety, a obraz ze śmigłowca (czyniono już takie pionierskie próby) był wysoce niedoskonały. Ale kolumna wyścigowa była kolorowa. Tymczasem PRL była bardzo, ale to bardzo szara. Może dlatego ludzie kochali Wyścig Pokoju...

Oczywiście nie wszyscy ludzie fascynują się sportem. Mam bardzo wielu znajomych, którzy nic o nim nie wiedzą i nie chcą wiedzieć, nie oglądają transmisji ze stadionów i jest im z tym dobrze. Mają inne zainteresowania.

Zauważyłem jednak ciekawe zjawisko. Niektórzy z moich pobratymców emerytów, którzy wcześniej mieli do sportu stosunek obojętny, na stare lata nawrócili się na sportową wiarę. Po prostu mają teraz sporo wolnego czasu, a czymś trzeba go wypełnić. Zaczynają pomaleńku: od zawodów w określonej dyscyplinie. Poznają szczegóły, rozpoznają zawodników, zaczynają doceniać ich klasę. Kolejnym krokiem jest poszerzenie zainteresowania o inne dyscypliny, aż wreszcie przychodzi czas na wykupienie abonamentu telewizyjnych kanałów sportowych.

Zauważyłem, że te neofitki i ci neofici nie cierpią boksu, nie mówiąc już o MMA. Do oglądania bicia się po mordach nikt ich nie przekona. Ale pewnie są i tacy, tylko ich nie znam.

Powszechnie wiadomo, że Jerzy Urban nie tylko

nie lubił sportu.

On go po prostu nienawidził, może nie aż tak bardzo jak Kościół katolickiego i prawicowej hipokryzji, ale coś blisko tego. Skąd więc znalazł się „Sportek” na łamach tygodnika? Ano stąd, że choć „NIE” to autorski projekt Urbana, to nie robił on pisma dla siebie, lecz dla Czytelników. Dodam, że redaktor naczelny czytał wszystkie teksty wysyłane do drukarni, mój sportowy także. Pewnie nie było to przyjemne zajęcie dla kogoś, kto sportu nie cierpiał.

Było tak. Gdy mieszkalem w Petersburgu, od czasu do czasu pisywałem korespondencje z tego miasta. Po powrocie do Polski spotkałem się z naczelnym „NIE”, którego poznałem przez jego żonę Małgosię, z którą się kumpluję – aż strach przyznać – od 1969 r. Przy jakiejś okazji rozmowa zeszła na temat dziennikarstwa sportowego. Nie próbowałem przekonywać Jurka do szlachetnych idei sportu, zresztą sam w nie coraz mniej wierzę, zauważyłem tylko, że chyba nieprzypadkowo każda gazeta ostatnią stronę poświęca wydarzeniom ze stadionów, a szczególnie ważne rozgrywki wędrują na stronę pierwszą. „Napisz felieton sportowy i zobaczmy, co z tego wyniknie” – usłyszałem.

Okazało się, że Czytelnicy dobrze przyjęli tekst, i w ten sposób powstała rubryka, dla której Małgosia wymyśliła tytuł „Sportek”, co być może jest połączeniem słów „sport” i „Wojtek”, a może nie, Małgosia ma fantazję. Dostaje sporo mejli od Czytelników, najczęściej, jeśli pomyłé jakieś fakty. Czytelnicy są uważni i znają się na sporcie.

I tak to już trwa od ładnych kilku lat.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

	SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ: Jerzy Urban – redaktor naczelny, Przemysław Cwikliński, Waldemar Kuchanny (zastępcy red. nacz.), Małgorzata Daniszewska, Bożena Dunat, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Micińska, Maciej Mikołajczyk, Andrzej Sikorski, Agnieszka Wolk-Laniewska. Krzysztof Olejnik, Włodek Kierus (grafika, DTP). WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o. ADRES redakcji i wydawcy: 00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9, tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68; tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58. DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.	INTERNET www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa. E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl Współpraca: „Daniszewska i córka s.c.” Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiuścacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada. DRUK: Drukarnia Prasowa S.A., Łódź, e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl Poczta Polska – prenumerata krajowa: Infolinia 801-333-444, dla tel. komórkowych 438420600 www.prenumerata.poczta-polska.pl	„Ruch” S.A. – prenumerata krajowa: Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl. Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. (koszt połączenia wg taryfy operatora). prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę: Informację o warunkach prenumeraty i sposobie zamawiania można uzyskać pod nr tel. +48 (22) 693 67 75 www.ruch.com.pl e-mail: prenumerataz@ruch.com.pl	Telefoniczne Biuro Obsługi Klienta (koszt połączenia wg taryfy operatora): - połączenie z telefonów stacjonarnych 801 800 803 - połączenie z telefonów komórkowych +48 (22) 693 70 00 Dystrybutor: Kanada – Vartex Distributing Inc., 3135 Universal Dr. Unit # 3 Mississauga, Ont., L4X 2E6 Canada. Tel. (905) 624-4726.0 Sprzedaż elektroniczna: www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl Numer zamknięto: str. 1–16 – 12.10.2022 r.
--	--	---	---	--

SŁÓWKA POŁGŁÓWKA

– Kokaina? Tu w Otwocku? Ja? – zdumiewał się prezydent Otwocka Jarosław Margielski.

– A dlaczego nie? – wzruszył ramionami wicepremier i minister aktywów państwowych Jacek Sasin. – To jest proste jak jeba... No, bardzo proste to jest.

– Od dystrybucji są specjaliści... – miał wątpliwości Margielski. – Nie wiem, dilerzy...

– Jebać ich! – Sasin obiecał sobie wcześniej, że nie będzie przeklinał, ale właśnie złamał obietnicę; jebać ją! – Musimy pokazać, że sami potrafimy... Zresztą co w tym trudnego? My ci dostarczymy kokę, a ty z niewielką marżą odsprzedajesz ją potrzebującym. Ludzie mają to, co lubią, ty masz następne wybory wygrane jak w banku, a my pokazujemy opozycji, że jednak się da.

Prezydent Otwocka nie był przekonany do tego pomysłu, ale cóż miał robić? Podał rękę Sasinowi, który uściśnął ją z zapalem.

...

– Nie tak się umawialiśmy... – szeptał do telefonu prezydent Margielski. – Miała być czysta kokaina, a przysłaliście mi pół kilo brown suger.

– Szuger nie szuger, ale w czapkę daje – roześmiał się wicepremier Sasin. – Przysyłamy, co mamy, a na razie mamy tylko to, co przysłaliśmy.

– Klienci się zniechęcają... – jęknął Margielski. – Mówią, że z takim badziewiem to mogę się pierdo... mogę się nie wysilać.

– Będzie kokaina. Będzie tyle kokainy, że twoi klienci będą mogli się w niej tarzać.

...

– Ale jak to? – dziwiła się prezenterka publicznej telewizji Danuta Holecka. – Pan prezydent Otwocka może, a pan nie może?

– Samorząd nie jest od handlowania narkotykami! – może nieco zbyt stanowczo odpowiedział prezydent Ciechanowa Krzysztof Kosiński. – Nie ma odpowiednich wag, przeszkolonego personelu, laboratoria nie nadążą z badaniem jakości towaru.

– To zwykle wymówki – rzekł prezydent Otwocka, zaniepokojony, bo facet obsługujący kamerę już trzeci raz puścił do niego oko. – My w Otwocku potrzebowaliśmy dwóch dni, żeby wszystko przygotować. Z ważeniem towaru nie przesadzajmy, nie musimy liczyć się jak Ży... jak bardzo skrupulatni ludzie.

– Słyszałem, że zamiast kokainy rząd wam dostarcza kwas – uszczypliwie zauważył Kosiński. – Co jak co, ale kwas nie jest dla mieszkańców Ciechanowa. Nasi mieszkańcy zasługują na towar najwyższej jakości.

– Kwas nie kwas, byleby w beret dawał – facho-wo zauważyła Holecka. – Jak powiedział pan prezes, épać trzeba w tej chwili wszystko, oczywiście poza heroiną i podobnymi rzeczami.

Facet za kamerą czwarty raz puścił oko do prezydenta Margielskiego, który nagle złapał się za głowę, w bagażniku nie miał bowiem kwasu, tylko dwieście działek najgorszego brań szugera.

PRZEMYSŁAW CÍWKLIŃSKI
pcwikla@redakcja.nie.com.pl

Dialogi dam w drodze do kościoła

No to znowu jestem wdową – powiedziała po pogrzebie Urbana **GOŚKA DANISZEWSKA. AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** czuje się sierotą po Urbanie, ale Goście tego nie mówi, żeby nie było, że żaba podstawia łapę do kucia.

Daniszevska: – Niezmiernie mi źle bez Łysego. Nawet jeszcze nie pozbyłam jego braku w głowie. Ciągłe chcę mu coś opowiedzieć, a on już jest pudełkiem popiołu. To był, Wołku, mężczyzna dla mnie.

Wołk-Łaniewska: – To się szczęśliwie złożyło, bo ty chyba byłaś kobietą dla niego. Z jakąś normalną umarłby z nudów dawno temu...

– Dwuznaczny komplement, ale dziękuję.
– Trzymasz się jakoś?

– Chujowo. Ale miewam małeńkie radości. Widziałas tę żalostną grupkę antykomunistów na pogrzebie Łysego? Nawet porządnie „Precz z komuną” nie potrafili zawołać.
– Dokąd zmierza ten kraj...

– Aż musiałam im pomagać...
– A co robiłaś?

– Biłam brawo i zagrzewałam do boju.
– I co, pomogło?

– Słabo. Ożywili się dopiero, jak usłyszeli, że Kwaśniewski przemawia.
– Co zrobili?

– Zaczęli wołać „Olek, chodź na łufę”.
– Przyszli?

– Nie. Postali trochę i się rozeszli.
– Łysy byłby zdegrustowany ich brakiem determinacji.

– Też tak sędzę. To teraz przejdźmy do mojego statusu

wdowy. Miałam dwóch mężów...

– Własnych?

– Własnych, własnych. Gdybym zaczęła liczyć cudzych, toby się szwadron zrobił. Obydwaj moi byli z ulicy Emilii Plater w Warszawie. Jeden spod 12, drugi spod 20. Czy Warszawa ma tylko jedną ulicę?

– Zaskoczę cię: nie. Ale może ty masz szczególną predylekcję do inteligentów ze Śródmieścia.

– Może... No ale ja nie o tym. Ja chcę o wdowach.

– Macie tajne stowarzyszenie?

– A niech mnie nieistniejący broni! Jest to obce mi pojęcie. Dlaczego wdowy to są takie durne krowy?
– Z żalu?

– Zawsze będziesz bronić, jeśli kogoś krytykuję?

– Przeciwna opinia jest duszą konwersacji.

– Wsadź se tę duszę tam, gdzie nie masz własnej. Wracam do opowieści o wdowach: Łysy kumpłował się z Mietkiem Rakowskim. Ja też go lubiłam.

– Bo to był wybitny człowiek. I mówię to bez najmniejszej ironii. Znałam go słabo, przez niedługi czas pracy w „Przeglądzie Tygodniowym”, ale wspominam jak najlepiej. A jeszcze lepiej wspominam opowieść Kiry Gałczyńskiej o tym, jak solidaruch, który przejmował od niej muzeum w leśniczówce Pranie, zapytał, jacy są sąsiedzi. Czy sympatyczni? „Uroczy” – od-



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

powiedziała Gałczyńska. „Ktoś znany?” „Państwo Rakowscy...” Solidaruch był dziwnie niezachwycony. Ja tam bym była, gdybym miała Rakowskiego za miedzą.

– Ja miałam. Pracowaliśmy drzwi w drzwi. Mietek wydawał pismo, a Jurek płacił. No i dobrze. Dawał mi też premię i pensję premiera.

– I Rakowski pływał w waszym basenie.

– Skąd wiesz?

– Widziałam. Mam taki obraz w oczach z jednej z waszych imprez: Rakowski robi długości, a ty leżysz na brzegu basenu i podajesz mu koniak, gdy do ciebie podpywa. I tak sobie konwersujecie.

– Bo konwersacja z Mietkiem była interesująca. Wtedy wdowa Kępińska nas lubiła.

– Kiedy jeszcze nie była wdową?

– Wtedy właśnie. A potem przestała. Teraz nawet się nie odkłania. A druga durna zaprzyjaźniona ze mną wdowa to Toeplitzowa. Bardzo lubiliśmy się z Krzyżkiem.

– U Toeplitza pracowałam jeszcze krócej niż u Rakowskiego, ale też za nim przepadałam. To był facet z niezwykłą klasą. A także ze szczególnym poczuciem humoru. Mój ojciec snuł taką uroczą opowieść z czasów, gdy był kimś na kształt szwagra Toeplitza: pierwsza żona tatusia jest siostrą Krysi Mazurówny, z którą Toeplitz miał syna Kacpra, kompozytora dziwacznej muzyki. I tatuś zawsze ze wzruszeniem wspominał, jak wpadł do Krysi w jakiejś sprawie przed południem, piją kawę i nagle na galerijce nad schodami pojawia się Toeplitz w chińskim szlafroku haftowanym w smoki i oznajmia: „Ty nawet nie wiesz, Krysiu, jakim ja jestem geniuszem”. Śmieszność polega na tym, że rzeczywiście był: Toeplitz, Urban, Radgowski... Nikt inny tak nie umiał pisać wtedy, a już na pewno nie umie teraz.

– À propos teraz: teraz te głupie krowy wdowy mnie nie znają. To jest nieprzyjemne. O co tym krowom wdowom chodzi?

– Nie wiem.

– To było pytanie retoryczne. Nawet, Wołku, nie jest mi przykro. Ja je pierdołę. Mam swoje tęsknoty. Pamiętaj, Wołku, że nie jest łatwo być wdową. A szczególnie głupią wdową.
– To mi się nie przydarzy.

– Bycie głupią?

– Głupia jestem od urodzenia i taka umrę, bo mi z tym dobrze. Bycie wdową.

– Nie mów hop.

– Ja akurat mogę powiedzieć, bo mój stosunek do małżeństwa jest ideologiczny. Cóż za archaiczna patriarchalna instytucja! Co w ogóle ma instytucja do miłości? Im bardziej kogoś kochałam, tym mniej miałam ochotę za niego wychodzić. Dla pieniędzy to może jeszcze bym wyszła, ale to musiałyby być naprawdę duże pieniądze. A tacy z dużą kasą to se wybierają „trophy wife” z radykalnie późniejszym peselem...

– Co sobie wybierają?

– Trofiejną żonę, niebezpieczeństwo więc minęło.

– Zmieniając temat: dzisiaj w sklepie na rogu mój ulubiony sąsiad sprzedawał swoje wymienione wyroby. W kolejce stoi moja przyjaciółka. Przed nią jakaś para. Kobieta bierze „NIE”. Mężczyzna: „To chcesz to pismo tego szarego łobuza?”. Ale kupili.

– Łajdaka.

– Skąd wiesz?

– Bo mi opowiadała przez telefon. I uznaliśmy, że „uszaty łajdak” brzmi pięknie. A propos pięknych obelg: zostałam fanką twitterki o ksywie „Czarna Mamba”. Jakiś siurek, co ma zdjęcie wyklętych na tapecie, napisał na Twitterze: „Serio Trzaskowski chce Urbana na Powązkach chować? I mamy na to pozwolić?”. A Czarna Mamba mu na to: „Ty tępy chuj na żetony”, Trzaskowski łopatą nie macha, Urban spocznie w rodzinnym grobie, a jak Ci się nie podoba, to idź się położyć do dołu przed nim i zajmij miejsce”...

– To by się Łysemu spodobało.

– Ale patrz, nie przyszedł. Może nikt żetonu nie wrzucił.

daniszevska@redakcja.nie.com.pl
awl@redakcja.nie.com.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA odc. 219



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI